

W DRODZE

D W U T Y G O D N I K P O L I T Y C Z N Y I L I T E R A C K I

Nr. 8 (50)

Jerozolima, 16 maja 1945 r.

Rok III

ADAM MACIELIŃSKI

ZWYCIĘSTWO NAD NIEMCAMI

Traktat Wersalski 1919 r. oparł konstrukcję Europy na poszanowaniu praw wszystkich europejskich narodów, a nawet narodowości bytujących w granicach istniejących lub powstałych po pierwszej wojnie światowej państw europejskich. Idealizm Wilsona powołał nawet do życia państwa liczące mniej mieszkańców niż światowe metropolie. Traktatowa zaś ochrona tzw. mniejszości narodowych była wyrazem poszanowania także i takich odrębności, które mogłyby być uważane za odłamy szczepowe danego narodu. Pierwsza wojna światowa, którą zamykał Traktat Wersalski, zakończyła się akordem ideologicznym; naród oraz suwerenność i pełna niepodległość państwa tworzyły najistotniejsze znamię politycznej rzeczywistości europejskiej. W konstrukcji tak pojętej uznano również zasadę jedności Europy w sensie cywilizacyjnym i utrwalono to, co rozwijało się przez kilka dziesiątków wieków.

W owej Europie powersalskiej Rosja pozostała poza granicami Europy, a Niemcy, osadzone jako wróg narodów europejskich, ze wspólnoty europejskiej zostały początkowo wyłączone. Wydawało się wtedy twórcom pokoju wersalskiego, iż przedsięwzięte przez nich środki wystarczą dla ujarzmienia pokonanych Niemiec. Wydawało się im, że nastaje istotnie era pokoju i szczęśliwości, której Niemcy nie będą w stanie zakłócić.

Falszywa niewątpliwie dalsza polityka państw zachodnich wobec Niemiec oraz nieobecność Stanów Zjednoczonych w konstrukcji ogólnoświatowej, jaką tworzyła Liga Narodów, stwarzały te warunki, w których niemieckie plany ponownej agresji przeciw Europie i światu poczyniły być coraz bardziej możliwe. Zwycięstwo ówczesnych Aliantów, które nie stało się druzgocącą klęską niemiecką, podniecało jedynie wyobraźnię germańską do odwetu i zemsty i takiego już przygotowania następnej wojny, aby skończyć się ona mogła tylko pokonaniem wrogów Niemiec i rozpoczęciem ery niemieckiego panowania nad Europą i światem. Wszystkie rządy niemieckie, już od samej chwili podpisania zawieszenia broni w dniu 11 listopada 1918 r., przygotowywały Drugą Wojnę Niemiecką, bez względu na to, czy głosiły hasła demokratyczne i pacyfistyczne, czy też wołały o rewizję traktatów, lub też skarżyły się na niesprawiedliwość wyrządzoną niemieckiemu narodowi.

W r. 1933 przyszedł do władzy rząd, reprezentujący ruch najbardziej germański, jaki w dziejach Niemiec kiedykolwiek się pojawił. Hitler zdobywał w Niemczech coraz szersze koła nie tyle sympatyków politycznych, ile wyznawców nowej germańskiej religii, którą dawał narodowi niemieckiemu do wzięcia i realizacji. Poruszał najgłębsze struny niemieckiej duszy, którą potrafił za sobą całkowicie porwać. Rosnąca liczba głosów, padających za Hitlerem w najrozmaitszego rodzaju głosowaniach, wskazywała na nową filozofię coraz głębiej sięgającą w społeczność niemiecką i nowy rosnący niemiecki fanatyzm. Na przestrzeni niewielu lat dokonała się w społeczności niemieckiej olbrzymia przemiana, która ogarnęła wszystkie koła i wszystkie generacje do tego stopnia, iż trudno było w Niemczech znaleźć przeciwników tego ruchu, który był tak bardzo germański, a zarazem tak bardzo przeciw-europejski. Wszystkie dotychczasowe wierzenia niemieckie zastąpione zostały nowymi dogmatami, nowym mitem, nowymi legendami.

W hitleryzmie udoskonalili się duch pruski, od czasów Bismarcka władający całą Niemiecką Rzeszą, najgroźniejszy wróg Europy i jej cywilizacji. W wielkim pojedynku z południowymi Niemcami okazał się bezapelacyjny zwycięskim. Hitleryzm wygnał z Niemiec chrześcijaństwo, które nigdy zresztą głęboko w duszę niemiecką nie zapadło i z psychiką niemiecką się nie zespoliło, i przywrócił kult materii, siły i gwałtu. Stanął przez to przeciw całej cywilizacji europejskiej, na chrześcijaństwie opartej, wykazał całą swoją nieeuropejskość i całe swoje barbarzyństwo. Ujarzmił u siebie jednostkę, dobrowolnie poddającą się niewoli tych, którzy mieli ją do panowania nad innymi doprowadzić. Ożyły ideały hord germańskich, prowadzonych przez wodzów na krwawe wyprawy po łup i niewolnika. Hitleryzm wyraził w praktyce to, co jeszcze w r. 1923 pisał o Niemcach niemiecki historyk Willy Hellpach, iż „chętnie pocieszają się grą wyobraźni, wizjami mistycznymi lub metafizycznymi, pragnieniem nieokielzanym imperialistycznego panowania, uniwersalizmem podboju, który przeciwstawia się każdej współpracy międzynarodowej”. Hitleryzm musiał więc wskazywać na wszystkie inne narody europejskie jako na wrogów Niemiec, musiał wzmacniać pragnienie zniszczenia wszystkiego, co nie jest niemieckie, musiał dążyć do zburzenia całkowitego porządku narodowego, ustanowionego w Wersalu, w którym dla siebie miejsca na współzycie i współpracę nie widział. Hitleryzm miał dynamizm rewolucji, wierzył, że świat powinien składać się tylko z panujących Niemiec i z podbitych wszystkich innych narodów. Hitleryzm musiał podjąć wysiłek zniszczenia europejskiej cywilizacji. To wszystko było wewnętrzną logiką tego ruchu. A że drzemało też w duszy każdego Niemca, więc też każdy Niemiec doznawał olśnienia, iż sny jego stały się rzeczywistością.

Hitler zrozumiał napoleońskie określenie, iż „Polska jest zwornikiem Europy”, i napadł na Polskę rozpoczął podbój Europy, marząc o podboju świata. Wrzesniową klęską Polski zburzony został porządek ustanowiony w r. 1919 w Wersalu, ale Hitler nie był w stanie wykreślić z europejskiej rzeczywistości wartości narodowych, jakie dojrzały jeszcze bardziej w dwudziestolecu wielkiego zawieszenia broni w Europie. Klęska Polski stała się alarmem dla ratowania europejskiej cywilizacji i jej wartości, o ile Europa miała pozostać Europą. Pod panowaniem niemieckim Europa przestawała być sobą, a rządzenie światem przez Niemcy przyniosłoby było całkowitą zmianę zasad życia jednostek i społeczeństw. Niemcy dawali Europie i chcieli dać całemu światu w istocie azjatyckie zasady życia.

Sukcesy militarne Niemiec były na przestrzeni lat 1939—1941 wprost oszołamiące. Rozpostarli oni swoje panowanie znacznie szerzej na kontynencie europejskim, aniżeli w poprzedniej wojnie, a ponadto sięgnęli na kontynent afrykański, kierując się do jednego z najczulszych wiązań imperium brytyjskiego, grożąc zarazem zachodniej bramie Morza Śródziemnego. Dotarli nad Wołgę i na Kaukaz, chcąc powalić tego, który im do rozpoczęcia tej wojny dopomógł. Politycznie jednak nie osiągnęli nigdzie żadnych sukcesów, pomimo falangi kłoboraczystów we wszystkich podbitych krajach, z chlubnym wyjątkiem Polski. Ideał niemieckiej przestrzeni życiowej oraz niemieckich nadludzi i niemieckiej rasy panów nie pociągnął w istocie nikogo; pobudził tylko oportunisty; nic więcej. Europa jednak została zniszczona, gospodarczo wyczerpana, pogrążona w stan chaosu.

Niemcy przyczyniły się waleń do tego, iż na gruzach Europy rozczarowane narody zaczęły szukać innych dróg ratowania swojego bytu i dostały się faktycznie pod władzę partyzantów, w każdym właściwie kraju. Europa zaś partyzantów często widzi źródło swoich natchnień na Kremlu. Europa partyzantów jest zjawiskiem, dominującym w położeniu politycznym dnia dzisiejszego.

Niemcy zostały pokonane na polu bitwy. Odmienne od pierwszej wojny światowej woj-

ska Sprzymierzonych okupują kraj niemiecki. Zwycięstwo militarne jest wspaniałe, choć uzyskane na niezmiernie trudnej drodze, kosztem olbrzymich, nieznanych jeszcze w szczegółach, ofiar. Ale dziś staje przed nami problem politycznego zwycięstwa nad Niemcami. Staje w ogóle problem Niemiec, które zajmując centralne miejsce w Europie, nawet jako tej Europy wrogowie, muszą być brani pod uwagę przy konstrukcji politycznej europejskiego kontynentu.

Nie są znane pokojowe plany urządzenia Europy. To co wiemy o konferencjach moskiewskiej, teherańskiej i krymskiej, to były układy wojenne, na czas wojny obowiązujące. Mówi się dziś wiele o rewizji układów między dotychczasowymi Sprzymierzeńcami i nie wiadomo jaki plan urządzenia tego najważniejszego z kontynentów mieć będą Anglosasi. Plany Rosji są o tyle jaśniejsze, iż stwarzane przez nią fakty dokonane rzucają pewne światło na jej zamiary na przyszłość i na jej pojęcia pokoju w Europie.

Rzeczywistość jednak europejską na dziś stanowią pokonane Niemcy i olbrzymia masa problemów, nierozwiązanych, palących, drażliwych, do których rozwiązania podchodzić trzeba mądrze, spokojnie, z dużą wiedzą o każdym narodzie, o historii całej Europy, ze znajomością praw rządzących życiem narodów, z najwyższym szacunkiem dla ludzkiej jednostki, w każdym narodzie stanowiącej najcenniejszy element życia i rozwoju. Położenie Europy przedstawia się dziś dla przeciętnego obserwatora wypadków jak czarna plama, bez konturów nawet tych problemów, jakie na tym kontynencie są żywe i krzyczą o najszybsze rozwiązanie.

Na czoło problemów europejskich wybija się sprawa polska. Tak jak Hitler zaczynał burzyć porządek europejski od zgruchotania zwornika Europy, tak samo budowniczo wie tego kontynentu bez właściwego, europejskiego rozwiązania sprawy polskiej, nie są w stanie zbudować nie tylko politycznego, ale w ogóle żadnego porządku w Europie. Zwycięstwo, także Polski, nad Niemcami, najbardziej odwiecznym wrogiem, w logicznym porządku rzeczy powinno było przynieść Polsce wolność. Wolności tej nie przyniosło i walka o całość i niepodległość, prowadzona z taką determinacją przez Rząd Polski, trwa nadal. Rozwiązanie sprawy Polski przyniesie musi w konsekwencji podobne rozwiązanie zagadnień bytu wszystkich innych narodów, położonych na pasie od Morza Bałtyckiego do Egejskiego, których los i życie opatrność z Polską nierozzerwalnie związała. Stopień zaś klęski niemieckiej świadczyć będzie o długości okresu, w którym narody te będą mogły wieść bezpieczne życie, wolne od niemieckiej agresji.

Każdy z tych narodów, położonych na wschód od Niemiec, w mniejszym stopniu jak Francja, dla której problem niemiecki co najmniej tak długo i w takich rozmiarach jak dla Polski, obecnie, po militarnej klęsce Niemiec, skłonny jest przyjąć jako wskazówki postępowania wobec Niemiec sformułowania prof. Sorbony Edmonda Vermeil: „Obciąża

W numerze:

Jerzy Larren-Lenczowski: Penerima amerykańska w Iranie. — Porucznik Herbert: „B” jak Bolesław. — Aleksander Janta-Polczyński: Z tamtej strony celownika. — Dziesięciolecie śmierci Józefa Piłsudskiego. — Maria Kuncewiczowa: Zmowa nieobecnych. — Scrutator: Chesterton a Polska. — Fakty i komentarze: Sprawa Petain'a. Admirals Doenitz. — Wiktor Weintraub: List z Londynu. — zb.: Przegląd polityczny. — Z prasy obcej: „The American Mercury” o sprawie polskiej. — Granica Europy.

ARTUR MIĘDZYRZECKI

PAŁAC ANIOŁA

Słowa kamienne, gładź muzealna, piszczele;
Kodeks z granitu umarł skłania minstrele.

Głowice jońskie, rzymskie sklepienia, zwaliska.
Kruszą się ściany, opada mur w obeliskach.

W gablotkach — zmyślność grotów śmiertelnych, strzał
ostrych,

Patrzy przez szybę kościotrup — szczyty się wzrastem.

Freski wyblakłe, cegły strącone z cokołu.
Bieleją pośród katapult skrzydła aniołów.

...Prawnuk stał nad balistą, miasto ogarniał
(nowe depesze wojenne biła drukarnia).

Wiochy, 1945.

terytorialne, rozbrojenie militarne, zniesienie przemysłu, który był instrumentem wojny — oto zadania, które wysuwają się przed problemami porządku politycznego lub też reedukacji. Dla Polski i niewątpliwie dla każdego z narodów, padających ofiarą niemieckiej agresji, najważniejsze jest, by Niemcy byli tak mocno osadzone, by nie były w stanie przygotowywać nowej wojny europejskiej i światowej oraz by okupacja wojskowa trwała tak długo, by służyła za najlepszą reedukację na pokolenia; by wreszcie okupacja ta była tak surowa, aż pamięć o niej powstrzyma pokolenia barbarzyńskich Germanów od zrywania się przeciw Europie z chęcią zniszczenia jej wspaniałej cywilizacji.

Olbrzymie zadanie spełnia w tej wojnie Wielka Brytania, która w godzinie śmiertelnego dla siebie niebezpieczeństwa, z taką samą determinacją jak Polska, nie poddała się hordom germańskim i tą swoją decyzją uratowała Europę. Dziś, po skończeniu wojny z Niemcami, gdy ogłoszone zostało zwycięstwo, nie tylko problem urządzenia Niemiec zaprzęta umysły przewodzących Wielkiej Brytanii mężów stanu. Dziś najważniejszym problemem jest urządzenie Europy wedle praw konstrukcji tego kontynentu, jakie jego rozwojem rzadziły od kilkunastu wieków. Jasne się bowiem staje coraz bardziej, że tak jak nie można było oddać Europy w niepodzielne władanie Niemiec, gdyż stanowi to śmiertelne niebezpieczeństwo dla samej Wielkiej Brytanii, tak też nie można żadnemu innemu mocarstwu europejskiemu lub poza — europejskiemu oddać rządów nad kontynentem europejskim, bez równoczesnego, takiego samego jak niemieckie, niebezpieczeństwa. Nie można też Europy dzielić pomiędzy jedno, dwa, lub trzy mocarstwa, gdyż wtedy, gdy jednemu Europie jest rozerwana, ginie Europa sama, a kontynent staje się tylko areną bitew rywalizujących między sobą mocarstw.

W Europie winna być uszanowana przede wszystkim wartość każdego narodu, bez względu na jego siłę polityczną, musi być uszanowana osoba ludzka, tak straszliwie pomiatana w systemie hitlerowskim i tak nie szanowana w Europie partyzantów.

Pomimo odwrotu od zasad ideologicznych w ostatnich trzech latach wojny, zaczyna się wydawać, iż po jej zakończeniu, idee poczynają brać górę nad brutalną siłą, gwałtem i przemocą, które takie ostatnio triumfy święciły. I tu znowu, w tej płaszczyźnie, na plan pierwszy wybija się sprawa polska. Jeśli wobec Polski zastosowane zostaną zasady moralne i obowiązujące normy prawa międzynarodowego, rozwiązane zostaną pomyślnie wszystkie problemy organizacji Europy. Wtedy dopiero przestanie panować w Europie duch niemiecki i niemieckie metody, które trwały nadal i pomimo militarного zwycięstwa nad Niemcami nie uległy i pokonane jeszcze nie zostały.

Niezmiernie ważny staje się także udział Stanów Zjednoczonych w strzeżeniu porządku europejskiego. Podobnie jak rozpostarcie panowania niemieckiego na przestrzeni całego kontynentu europejskiego w sojuszu z mocarstwem azjatyckim zagrażało bezpośrednio Stanom Zjednoczonym, tym bardziej mogłoby się stać groźne rozciągnięcie panowania państwa azjatyckiego na obszar całej Europy. Oba kontynenty związane pod jedną władzą dają niezmierzoną potęgę jednemu mocarstwu. Kto wie, czy olbrzymie siły Stanów Zjednoczonych, nawet wspólnie z zasobami całego Imperium Brytyjskiego, zdolne by były oprzeć się takiemu kolosowi. Stan taki równałby się zupełnej katastrofie i zagładzie europejskiej cywilizacji.

Jeśli zwycięstwo militarne nad Niemcami ma dać istotną wolność europejskim narodom, jeśli zwyciężyć mają ostatnie ideały, które zespoliły szeregi obrońców przed agresją niemiecką, by idee niemieckie nie panowały w życiu, musi się dziś uczynić duży wysiłek, by zwyciężyć Niemcy ideologicznie.

Na kontynencie europejskim nie mogą panować ideały niemieckie lub niemieckim podobne, ani też metody pod jakimkolwiek względem niemieckie.

Musi być przywrócona jedność Europy, pełna niepodległość wszystkich narodów europejskich, współpraca międzynarodowa, oparta o chrześcijańskie zasady cywilizacji europejskiej.

Konstrukcja zaś zwycięskiej nad Niemcami Europy zacząć się musi od Polski.

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

Penetracja amerykańska w Iranie

Od czasu zamordowania szacha Nasr-ed-Dina, współczesnego królowej Wiktorii, a ostatniego prawdziwie niezależnego władcy Persji, kraj ten zaczął się staczać po równi pochyłej zależności politycznej od wielkich mocarstw.

Ani nowy szach Mouzaffar-ed-Din, ani też jego następca Mohammed Ali, nie posiadali odpowiednich zalet umysłu i charakteru, by położyć kres coraz dalej sięgającym wpływom Rosji i Anglii. Oba te mocarstwa były zainteresowane Persją bynajmniej nie ze względów terytorialnych. Jednak, jak to często w podobnych wypadkach się zdarza, właśnie konkretnie terytorium perskie stało się przedmiotem penetracji i podziałów. Rosja była zainteresowana Persją przede wszystkim ze względów „profilaktycznych”, a ponadto był to teren, przez który można było wówczas skutecznie prowadzić dywersyjną robotę anty-brytyjską w Indiach czy na Środkowym Wschodzie. Anglia była zainteresowana naftą i obroną Indii. Rosja zręcznie wygrywała swe wpływy na dworze perskim, chętnie udzielając autokratycznemu Mouzaffar-ed-Dinowi pożyczek — i via Szach — stając się wierzycielem całego państwa. Anglia natomiast popierała perskich konstytucjonalistów, licząc, że ze zmianą systemu rządzenia nastąpi okres pomyślny dla jej wpływów. Wielka wojna wniosła trzeciego rywalu na teren Persji — Niemców. Akcja niemiecka, choć obfitowała w dramatyczne momenty chwilowych powodzeń, zakończyła się fiaskiem, pozostawiając jedynie wspomnienia paru malowniczych postaci swych agentów, jak np. Wassmussa.

Po wojnie sytuacja się zmienia. Anglicy, uzyskując kontrolę nad większą częścią Środkowego Wschodu, utrwalają swą pozycję naftową w Persji w obliczu kurczenia się wpływów sąsiada północnego i pomimo trudności, jakie im stwarza młody nacjonalizm perski pod rządami Szacha Reza Pahlevi.

Zjawia się natomiast nowy partner — Ameryka. W przeciwieństwie do akcji innych mocarstw, dążenia Ameryki nie były w tych rejonach nigdy imperialistyczne. Cechowało je natomiast zawsze handlowe podejście do wszelkich problemów. Na Środkowym Wschodzie zainteresowania Ameryki poszły w pierwszym stadium przede wszystkim w kierunku surowcowym — inaczej niż to np. było w Chinach. Toteż nie dziwnego, że ropa, stanowiąca główny surowiec Persji, nie ušla uwagi potentatów naftowych amerykańskich. Irak, gdzie po różnych politycznych perypetiach Amerykanie uzyskali udział w kompromisowym towarzystwie Iraq Petroleum Company, oraz wyspy Bahrein, których ropa, pomimo politycznej suwerenności brytyjskiej, należy do Amerykanów, stanowiły bodziec do większego zainteresowania się Persją. Oczywiście mogły tu wejść w rachubę tylko tereny północne, gdyż całe południe znajduje się w rękach koncesjonariuszy angielskich.

Złóża naftowe północnego Iranu stanowiły od dawna przedmiot zainteresowań rywalizujących mocarstw. Na skutek układu w r. 1907 północny i centralny Iran stał się strefą wpływów Rosji. Zostało to, jeżeli chodzi o naftę, potwierdzone w r. 1909, gdy Anglo-Persian Oil Co. uzyskała koncesję z wyłączeniem pięciu prowincji północnych. Wówczas to rząd irański udzielił koncesji jednemu z poddanych cara. Powstało rosyjskie towarzystwo Rupento. Zanim jednak przystąpiono do eksploatacji złóż, wybuchła w Rosji rewolucja, która wprowadziła pewien zamęt polityczno-prawny w dziedzinie koncesyj.

Próba opanowania północnych złóż przez angielską „North Persian Oil Ltd.” (filia A.P. O.C.*) spaliła na panewce na skutek protestów sowieckich i zmian rządowych w Iranie. Sowiet wychodził z założenia, że wszelka własność prywatna obywateli rosyjskich stała się automatycznie własnością rządu sowieckiego na skutek generalnej konfiskaty. Stąd też ZSRR protestował przeciw udzielaniu przez Iran jakiegokolwiek koncesji na północy obcokrajowcom. W tym duchu został nawet zawarty w r. 1921 traktat irańsko-sowiecki, w którym obie strony poszły na kompromis: ZSRR zdecydował wyrecz się wszelkich koncesyj uzyskanych poprzednio przez państwo lub osoby prywatne rosyjskie z tym jednakże, że Iran nie odstąpi tych koncesyj nikomu innemu.

Rząd Irański znalazł jednak w parę lat później sposób interpretacji tego traktatu na własną korzyść. Oto stwierdzono urzędowo, iż główna koncesja, udzielona za czasów reżimu carskiego jednemu z poddanych rosyjskich, nie była ważna, gdyż do jej udzielenia potrzeba zgody parlamentu, która nie została wyrażona. Stąd też z chwilą rewolucji 1917 r. koncesja ta nie przeszła na własność rządu sowieckiego, jako w ogóle prawnie nieistniejąca. Tereny więc tą „nieważną” koncesją objęte nie stano-

wiły, zdaniem rządu irańskiego, przedmiotem traktatu irańsko-sowieckiego z r. 1921, a co za tym idzie, rząd irański był wolny w rozporządzaniu nimi.

W praktyce wyraziło się to w udzieleniu początkowo koncesji spółce amerykańskiej Sinclair'a, by później, w r. 1937, zastąpić ją towarzystwem „Seaboard Oil Co. of Delaware”. „Seaboard Oil” uzyskało także koncesję w Afganistanie. Koncesja ta jednak, jeżeli chodzi o Iran, była krótkotrwała: w r. 1938 samo towarzystwo rozwiązało umowę, motywując swój krok trudnościami ekonomicznymi. Bezpośrednią przyczyną była — nieopłacalność przeprowadzenia rurociągów z północnego Iranu do Zatoki Perskiej. Jedynie uzyskanie czarnomorskiego portu Batum, jako punktu wywozowego, mogłoby stworzyć warunki dla praktycznej eksploatacji złóż północnych. Rurociąg musiałby jednak przechodzić w takim wypadku przez terytorium sowieckie, stawiając tym samym „polityczną” niezależność amerykańskiego koncesjonariusza pod znakiem zapytania. W roku więc 1938 Amerykanie, nie bez pewnego żalu, musieli się wycofać z północnego Iranu. — Jeżeli chodzi o interes Rosji, by tamtejsze złoża nie były nikomu wydzierzawiane, to oprócz motywów politycznych, ma on z pewnością także podłoże gospodarcze. Wiadome jest według opinii ekspertów, że północ Iranu posiada złoża naftowe bardzo bogate. Wyniki jednak ekspertyz w tych sprawach są na ogół trzymane w ścisłej tajemnicy a publikuje się jedynie ogólniki. W Iranie niektórzy „wtajemniczeni” twierdzą, iż nie wiadomo, czy złoża północy są samoistne, czy też łączą się ze złożami w Baku okiem Morza Kaspijskiego. Gdyby tak było, wszelka eksploatacja złóż np. w okolicy Meszhedu mogłaby rzekomo grozić wyzeraniem się źródeł Baku. Nie wiadomo, ile jest w tym prawdy, jednak w pewnej mierze może to ilustrować stanowisko Rosji w sprawie nieudzielania koncesyj na tych terenach.

Obecna wojna stworzyła nowe okazje do penetracji elementu amerykańskiego w Persji. Persja, utrzymując formalnie niepodległość, a mając rozliczne problemy wewnętrznej administracji do rozwiązania, zwróciła się do Stanów Zjednoczonych z apelem o pomoc fachową. Połącząc się to z napływem licznego elementu amerykańskiego w związku z szeroko zakrojoną pomocą dla Rosji. Wytworzyło to sytuację, w której Persja, pomimo wojskowych i politycznych wpływów rosyjsko-angielskich, posiada prawie wyłącznie amerykańskich doradców rządowych. Celem usprawnienia administracji finansów państwa został zaangażowany Dr Millspaugh. Przywiózł on ze sobą całą ekipę pomocników, a oprócz niego rząd irański zaangażował p. Sheridana dla spraw aprowizacji i p. Timmermanna dla zorganizowania policji. Obecność amerykańskich doradców usamodzielnia niejako Iran, którego administracja wewnętrzna jest niezależna od wpływów tych mocarstw, które zajęły część jego terytorium. Liczba ekspertów amerykańskich zwiększa się z każdym miesiącem, co pomimo obudzonego nacjonalizmu nie jest specjalnie w Iranie krytykowane, gdyż łączy to ściślejsze Stany Zjednoczone z Iranem.

Drugą okolicznością sprzyjającą penetracji amerykańskiej jest na szeroką skalę zakrojona pomoc dla Rosji. W chwili obecnej Amerykanie nieoficjalnie przyznają się do stanu 25.000 wojska na terenie Iranu. Oficjalnie wojsko to ma zadania wyłącznie transportowe i techniczne. Gdyby nawet na tym wyłącznie poprzestać — stanowi to element, pociągający za sobą wiele wkładów i inwestycji. Wspaniałe rozbudowany port w Khorramszar na lewym brzegu Szatt-el-Arab, centrum montowni lotniczych na wyspie Abadan, warsztaty samochodowe w Andimesz stanowią rekordy pracy i pomysłowości amerykańskiej w tym, jeszcze tak niewyzyskanym kraju. Licząc się nawet z rychłym zakończeniem wojny, nie wiadomo czy Ameryka nie zechce wykorzystać „perskiego korytarza”, w którego urządzenie już tyle włożono kapitałów, dla swych pokojowych obrotów handlowych z Rosją Sowiecką.

Pewne światło rzuca na te sprawy także fakt amerykańskiej penetracji kulturalnej i charytatywnej w Iranie, co się wyraziło w stworzeniu w kwietniu br. „Towarzystwa Stosunków Kulturalnych Irańsko-Amerykańskich” oraz akcji Amerykańskiego Czerwonego Krzyża, spięającego hojnie dary, a wspieranego przez ożywioną działalność społeczną pani Dreyfus, małżonki tutejszego pośła Stanów Zjednoczonych.

W sumie więc atrakcja nafty (co do której prawdziwe zamiary Ameryki nie są obecnie ujawnione), fakt tranzytowości Iranu oraz inwestycje „personalne” i kapitałowe dotychczas, dokonane stanowią te czynniki, które mogą wpłynąć na poważniejsze i dłuższe zainteresowanie się Stanów Zjednoczonych krajem Lwa i Słońca.

PORUCZNIK HERBERT

„B” jak BOLESŁAW

Opowiadanie poniższe jest prawdziwe. Zmieniono w nim tylko niektóre drobne szczegóły, nazwy miejscowości i imiona osób, ponieważ wymagały tego warunki utrzymania tajemnicy wojskowej.

Na krótko przed wybuchem powstania w Warszawie zaszła potrzeba wywiezienia z Polski, spod okupacji niemieckiej, kilku osób, które zajmowały tam ważne stanowiska w ruchu podziemnym. Osoby te są obecnie w W. Brytanii, w charakterze wysłanników Kraju do Rządu Rzeczypospolitej. Ich obecność świadczy o najściślejszej łączności, jaka istnieje pomiędzy narodem polskim a jego prawowitym rządem; o tym, że rząd ten ma za sobą poparcie olbrzymiej większości społeczeństwa polskiego; że ma prawo w imieniu Narodu Polskiego przemawiać na arenie politycznej tak długo, póki Polska nie zostanie uwolniona spod jakiegokolwiek przemocy; póki naród nie będzie mógł w swobodnych wyborach do ciał ustawodawczych wypowiedzieć się za takim, czy innym ustrojem, za takim, czy innym składem nowego rządu. Dlatego przybycie z Polski tych osób było konieczne, pomimo największego nawet ryzyka, jakie musiało towarzyszyć ich wyjazdowi. Pomimo czujności Gestapo, mimo pięciu lat okupacji, mimo dwustu pięćdziesięciu tysięcy żołnierzy niemieckich, którzy mieli utrzymać w Polsce „niemiecki porządek”.

Sprawę transportu w tym niebezpiecznym przedsięwzięciu powierzono polskiemu dywizjonowi do zadań specjalnych. Sprawę przygotowania lądowiska i jego osłony — oddziałom Armii Krajowej.

„Dywizjon do zadań specjalnych”... Do niedawna ścisła tajemnica okrywała jego istnienie, działania, typ samolotów, nawet nazwę kraju, w którym położone było jego lotnisko. Nie wiadomo było także nie o załogach tego dywizjonu. O najlepszych bodaj, najbardziej doświadczonych załogach polskich, które latały na dalekie, zawsze ryzykowne, zawsze bardzo trudne wyprawy: na „zadania specjalne”... Dziś można już ujawnić, że dywizjon latał kolejno z Wielkiej Brytanii, z Tunisu, a wreszcie z Włoch — do Polski, nad Polskę, nad Francję, nad Jugosławię; że celem tych lotów było dostarczanie broni, amunicji, leków, sprzętu armiom podziemnym, które walczyły przeciw Niemcom; że wreszcie po wybuchu powstania w Warszawie ten dywizjon, wspólnie z podobnymi dywizjonami brytyjskimi i amerykańskimi, latał nad stolicę Polski, by jej obrońcom zrzucać zaopatrzenie.

Wyprawa, o której chcę opowiedzieć, dotyczy tylko jednej załogi tego dywizjonu. Załogi, która otrzymała rozkaz: „Doleciec, wylądować, zabrać wysłanników Polski Podziemnej i p o w r ó c i ć !”.

Liberator „B” jak BOLESŁAW wystartował z lotniska we Włoszech o godzinie dwudziestej pierwszej. Przeleciał nad Adriatykiem i przebiwszy się przez grubą warstwę chmur ponad Dalmacją, minął granicę Węgier. Nad Słowacją i południowymi stokami Karpat przeczał strefę gwałtownych burz elektrycznych i około pierwszej po północy znajdował się już nad południowo-zachodnią Polską, niezaawazony dotąd przez niemieckie posterunki podsłuchowe.

Tymczasem Oddziały Armii Krajowej zgromadziły się dokoła obranego zawczasu lądowiska, opanowały posterunki i małe garnizony niemieckie w najbliższej okolicy, i umocniły się prowizorycznie na zajętych stanowiskach obronnych. Odwód sił polskich stanął na samym lądowisku, o niecały kilometr od wsi Groble. Mały oddział łączności z radiostacją połową i obsługą lądowiska zajął na pół spaloną chatę pod lasem u skraju pola, z którego już uprzątnięto zboże.

Do tej chwili udało się zachować wszystkie przygotowania w tajemnicy. Dopiero na krótko przed przybyciem delegatów, którzy mieli odlecieć na pokładzie polskiego Liberatora, Niemcy zauważyli, że wszystkie ich połączenia telegraficzne w okolicy zostały przecięte. Radiostacja polska przejęła kilka depesz i rozkazów do opanowanych przez Armię Krajową posterunków żandarmerii niemieckiej, oraz rozmowy z odleglejszymi garnizonami. Niemcy byli zaniepokojeni. Lada chwila należało oczekiwać alarmu. Napiecie wzrosło jeszcze, gdy przybyli delegaci: teraz każda minuta opóźnienia w lądowaniu samolotu mogła zniweczyć cały plan...

Liberator „B” jak BOLESŁAW nie zgłaszał się. Załoga mogła zabić: pułap chmur był niski, padał deszcz, a lądowisko oczywiście nie miało oświetlenia, poza kilku lampami stojącymi i ogniskami, które miały być zapalone dopiero w chwili lądowania. Nie można było również próbować nawiązania łączności przez radio z ziemi. Ściągnęłyby to przedwcześnie wszystkie oddziały niemieckie w tę stronę; zdradziłoby Niemcom, o co chodzi i gdzie mają uderzać. Łączność musieli nawiązać lotnicy. Nawigator sam musiał odnaleźć lądowisko wśród ciemnej nocy...

Odnalazł je. Na ustalonej długości fali odczytał się w słuchawkach jego sygnał wywoławczy:

— „B” jak Bolesław, „B” jak Bolesław. Halo, dwa, cztery, siedem. Halo, dwa, cztery, siedem!

Prawie jednocześnie rozległ się bliski, szybko nabrzmiewający warok silników. Maszyna z zapalonymi światłami pozycyjnymi wypadła zza lasu i gnała skośnie ponad ścierniskiem.

— Lecą!!!

Radiotelegrafista już nadawał odpowiedź:

— Halo, Bolesław, halo, Bolesław. Tu — dwa, cztery, siedem. Dwa — cztery — siedem! Przelecieliście nad lądowiskiem. Zwróćcie i lądujcie według światła, które zapalamy, dokładnie na kursie 180 stopni... Halo, Bolesław, halo Bolesław...

— O.K., dwa, cztery, siedem, O.K. — zawracamy!

Od strony wsi Groble zaczęły płynąć dwa światelka: zielone i czerwone — nisko, coraz niżej nad ziemią. Na ściernisku błysnęły ogniska i rząd lamp pośrodku pola. Skrzydlaty cień, czarniejszy od nocy, zniżał się wzdłuż lasu, na lewo od światła. Dotknął ziemi, zarzuciło go w lewo, w prawo!... Wrzasnęły hamulce, drgnęły światła, bluznęły jezory płomieni z silników. Potoczył się, wykreślił, mieląc śmigłami — stanął. Ktoś wyskoczył na ziemię, przyklęknął. Ktoś podbiegł, zawołał. Dłonie zwały się w mocnym uścisku. I — „Prędko! Wielki czas: musicie natychmiast lecieć!”...

B y ł wielki czas: odbiórnik radiostacji grzmiał rozkazami niemieckimi.

— Alarm! Alarm!!! Alarm!!!

— Nieprzyjacielski samolot w rejonie Groble-Rudawa!

— Wszystkie oddziały pogotowia w kierunku na Groble!

Motocykliści, żandarmeria, Gestapo, SS, policja... Wszystkimi drogami, ze wszystkich stron, na łeb na szyję! Prędko, prędko, bo uciekną!!

Zaczyna się wyścig. Wyścig o wielką stawkę, przewyższającą wszystkie dotychczasowe. Samolot m u s i wrócić. Wysłannicy Polski Podziemnej muszą odlecieć. Ale... Jakkolwiek bez bomb, z połową zapasu paliwa, Liberator waży kilka ton. Koła grzęzną w rozmokłej ziemi. Niesposób przeokołować maszyny na skraj lądowiska: stanie na łące, a nie ruszy. Na próżno warczą, wyją silniki...

Na asfaltowych „runway’ach” lotnisk brytyjskich przetacza się samoloty bombowe przy użyciu ciągników. Tu trzeba użyć sił ludzkich. Może — nadludzkich... Niemal cały odwód osłony wyciąga — nie: przenosi na własnych barkach maszynę. Czy zdążą?...

Oddział *Papiernia* — w walce z przeważającymi siłami niemieckimi ma rannych i zabitych. Samochody pancerne SS zatrzymane przed rzeczką Rudawą: most drogowy wyleciał tam w powietrze. Motocykliści na drodze leśnej u skrętu szosy natknęli się na ogień polskich karabinów maszynowych, ale część zjechała w las i oskrzydla grupę *Szaniec*, która żąda natychmiastowych posiłków...

Wtem blisko, od południa, zagrały sienie broni maszynowej. Tam trzeba rzucić świeży pluton z odwodu.

— Za wszelką cenę utrzymać te stanowiska! — pada rozkaz. — *Za wszelką cenę!!*

Pilot przemierzył pieszo linię startu. Jest krótka, ale tu nieco suszej i twardziej, niż tam, gdzie lądował. Na końcu, przed kotliną zarośniętą krzakami i młodą brzezina, ustawiono lampę stajenną: sygnał, że dalej jest już tylko śmierć dla samolotu, jeśli się w czas nie oderwie od ziemi...

Ostatnie zarządzenia dla załogi:

— Jeżeli się rozwalimy przy starcie, najpierw ratować pasażerów.

Start. Samolot niechętnie rusza z miejsca na pełnym gazie, zarzuca raz w lewo, raz w prawo, gdy koła orzą zbyt głębokie bruzdy w ściernisku, ale nabiera pędu. Toczy się, przysiadła, dobija, podrywa się, szarpie, wylamuje i, brutalnie podcięty zwrotem steru, wraca na prostą... Pędzi coraz szybciej. Coraz gwałtowniej łomocą amortyzatorami, coraz boleśniej drga, jęczy, dudni. Zdaje się pękać w spojeniach, trzeszczeć i łamać się na tej nierównej, grząskiej drodze rozbiegu, która więzi jego podwozie. Cięży w sterach, zwisa, nie starcza mu pędu, aby się dźwignąć, i znów się odsadza, znów drży i gna przed siebie. Prędej, prędej! Prędej!! Na miłość Boską prędej!!! Światło u skraju lądowiska zbliża się, leci na spotkanie! Rośnie! Jest tuż!!!!

Trzask gałęzi, które smagnęły podwozie! Ale samolot leci!!! Leci!!! Płynie w powietrzu, wznosi się i gra pełną mocą silników. Leci!

— Uff! — mówi pilot. — Jeszcze takiego startu nie miałem. Wciągnij podwozie, Wiktor.

— Kurs 210, panie kapitanie — odzywa się w słuchawkach głos nawigatora.

Kurs 210 — do Włoch. Znów 750 mil w deszczach, w chmurach, aż do Adriatyku. Znów cztery godziny lotu...

Ale myśli załogi nie płyną ku lotnisku. Z chwilą gdy minęło napięcie, gdy Liberator wyszedł w powietrze, aby odlecieć z Polski, myśli tych ludzi tam właśnie pozostały. W warkocie silników grzmiały jeszcze strzały i słychać melodię, dziwną melodię twardej, nieustępliwiejszej pieśni, jak twardą jest walka Armii Krajowej...

Wkrótce ukaże się tom poezji

WŁADYSŁAWA BRONIEWSKIEGO

„DRZEWO ROZPACZAJĄCE”

Nakład wydawnictwa „W DRODZE”

*). Anglo-Persian Oil Company.

ALEKSANDER JANTA-POLCZYŃSKI

Z TAMTEJ STRONY CELOWNIKA

Na różnych odcinkach frontu od Normandii po Belgię, od Baarle Nassau ku Tilburgowi, potem pod Bredą lub nad kanałem Mark i aż po Moerdijk, zwany przez naszych żołnierzy krótko ale dosadnie, Mordą, nie jeden celownik przy dziale w czołgu, przy karabinach maszynowych, nie jeden strzelec, szukający celu w niemieckich liniach, zanim naciśnął język spustowy, zastanawiał się nie raz, być może przez krótką chwilę, co myślą, jak czują, jak reagują na to zwycięskie posuwanie się naszych oddziałów nasi nieprzyjaciele — Niemcy. Jak widzą własną swoją sytuację w porównaniu z okresem zwycięstw, przed trzema czy dwoma latami?

Odpowiedź na to pytanie dają oni sami. Nie jako jeńcy, broń Boże, nie wobec oficerów przeznaczonych do przepytывania. Odpowiedź dają nieproszeni na piśmie. W notatkach, w pamiętnikach, w listach znajdujemy ją na polach bitew, na szlaku, po którym przeszła Polska Dywizja Pancerna.

Mam przed sobą list starszego strzelca Günter Mainka, którego nie zdążył wysłać. Napisał go do ojca. An Herrn Eugen Mainka, Kleinmachnow, Berlin, Waidenbusch 29A. Ale list trafił w ręce naszych żołnierzy: Data 18 października 1944.

„Drogi ojczcie. Chcę ci znowu parę linijek dzisiaj napisać, bo mi czas na to pozwala. Nie mogę ci ciebie pisać w ostatnim czasie, bo nam Tommy żadnego spokoju nie zostawia.

Jeżeli w ostatnich dniach czytałeś nazwy Tilburg i Turnhut w komunikatach Oberkommando der Wehrmacht, to powinieneś pomyśleć o tym, że ja tu jestem. Nie możesz sobie wcale wyobrazić, jakim tchórzem jest Tommy. Nieprzyjacielską piechotę rzadko tylko, bardzo rzadko widzujemy. Wszystko robi czołgami i artylerią. A wreszcie bombowcami myśliwskimi. A że ma tego ile chceć, nie potrzebuję ci wcale mówić. W każdym razie możemy z dumą powiedzieć, że udało nam się go osadzić na miejscu. Kosztowało nas to jednak niemało strat. A teraz mieszkamy w dziurach ziemnych i ściągamy sobie na kark różne choroby. Cały dzień nekający ogień artylerii. Gdybyś tylko widział, jak wyglądają, rozdarłbyś oczy szeroko. Brudno i lepko, długie włosy i broda. Znowu nakrył nas nawałt ognia. Wtedy tylko łeb wciągnąć i oczekiwać.

Pozdrawia cię serdecznie twój syn

Günter.“

Tyle Niemiec, nie wiem dziś, jeniec nasz, lub poległy.

Cała poczta kaprala Bernharda Grote, numer poczty polowej 42054, wpadła nam w ręce. Między innymi list jego kolegi, kaprala Ben-ten, numer 38 & 36, który będąc na wschodnim froncie, pisze pod datą 7 lipca 1944:

„Z Nikopolu poszliśmy do Rumunii, na Jassy. Przed czterema tygodniami posunęliśmy się dalej w okolice Turno Severin. Jak też tam u was wygląda, czy uda się wam zatrzymać Tommich, czy też zrobili z wami to samo, co Rosjanie z nami tu robili? Byłby jeszcze do wytrzymania ten odwrót, gdyby wozy znajdowały się w jakim takim porządku...”

Bernhard Grote, odbiorca owego listu, pisze w dwa miesiące później do swojego brata, Ernsta Grote, adres: Ohlendorf über Hamburg-Harburg.

„W ostatnich czasach mam za sobą ciężkie dni i jeszcze dzisiaj jest tu bardzo ciężko. Człowiek przeciw człowiekowi aż do ostatka. Ufam jeszcze, że się jakoś wydostanę z tego świństwa. Dzisiejszy front zachodni nie wytrzymuje porównania ze wschodem. Tommy ciężko nam się daje we znaki. Już niedługo 4 tygodnie jak jesteśmy w walce. Ta wojna jest po prostu straszna. Nie ma też żadnych widoków, że nas Tommy zostawi w spokoju, przeciwnie, będzie jeszcze gorzej. Nawet o spaniu nie można myśleć przy tym ogromnym łoskocie...”

Także tego listu nie zdążył już wysłać kapral Bernhard Grote.

Tommy, o którym pisze, okazał się polskim żołnierzem. I w jego ręce trafił ostatni list niemieckiego kaprala.

*

Niemcy są gadatliwi. Niemcy lubią dawać wyraz swoim myślom, uczuciom, nadziejom i rozczarowaniom. Papier natomiast nie tylko że jest cierpliwy, ale w dodatku dość trwały. Przekazuje nam ich wypowiedzi.

Są dziś w naszych rękach obfite zbiory niemieckich pamiętników bojowych. Pisali je, nie spodziewając się, że wpadną w ręce wroga. Pisali szczerze, otwarcie, nie kryjąc uczuć. Kiedy jeden z drugim zaczynał to swoje pisanie, nikomu z nich nie śniło się nawet, że się całe ich wojenne przedsięwzięcie może skończyć się źle.

A potem, w miarę postępowania wypadków i ich coraz gorszego obrotu, grało rolę przyzwyczajenie, konieczność robienia notatek weszła w krew, nieczym nałóg. Pisali więc do ostatniej chwili. Zwierali się na papierze ze swoich obaw, trwóg i złych przypuszczeń. Mimo surowego zakazu, aby dzienników bojowych nie prowadzić...

Pisali je, jak się okazało, dla nas. Wy czytujemy z nich dzisiaj całą ich prawdę. Nie upiększoną, osobistą prawdę Niemców — odświeżającą ich prywatne życie i prywatne odczuwanie wojny, najpierw zwycięskiej, potem coraz straszniejszej, coraz dokuczliwszej, nieznosnej, tragicznej, wszystkie nadzieje burząc.

Por. Johann Schiffmann, Neuendorf über Elmshorn i. Holstein, Feldpostnummer 17137 B, dowódca kompanii piechoty, wzięty do niewoli przez żołnierzy naszej Dywizji, zostawił w ich rękach swój dziennik bojowy, doprowadzony do dnia 13 września br. W pięcioletnią rocznicę wybuchu wojny, wywołanej przez Niemcy napadem na Polskę, ten oddany Hitlerowi oficer ma do zanotowania pod datą pierwszego września tylko te wymowne słowa: pięć lat. Położenie nie daje mu czasu pisać więcej. Przechodzi bowiem zaraz do sytuacji na swoim odcinku i pisze, notując najważniejsze wypadki i najważniejsze refleksje: „Natarcia nieprzyjacielskich oddziałów rozpoznawczych, niezliczone bombowce nad nami. Znosi się tu na ładne rzeczy. Gdyby tylko nasze wozy były w porządku. Gdzie się podziała benzyna i oliwa?”

„9-go września. Jak się przedstawia sytuacja ogólna? Walki toczą się w Siedmiogrodzie. Rosjanie wypowiedzieli wojnę Bułgarii. Co się z nami stanie? Kompania posiada wszystkie 30 ludzi i jeden wóz. Nie ma nawet kuchni, nic. Bałagan nieopisany.”

W dniu 20 lipca: „Wiadomości o załamaniu się Rumunii. Zdrada króla Michała. Usunięcie Antonescu. Niebawem będzie tak daleko, że znowu znajdziemy się sami. Jak się do wszystkiego skończy?”

Notatka z 28-go zawiera dość niezwykłą relację o wyswobodzeniu się Paryża: „W tych dniach pada Paryż. Musi tam być strasznie. Porucznik Klein opowiada: 3 godziny fosfor padał z 3000 samolotów na Paryż. Nawet prasa przyznaje wyjątkowo ciężkie walki. Otrzymałem wiadomość, że ranny major Bremm znajduje się w Bruges. Opowiadał, że bitwa o Falaise w Normandii nie była niczym innym, jak próbą wytrwania pod nawałami nieprzyjacielskich bomb i pocisków. Nie oczekiwał czegoś podobnego jako przewagi technicznej i materiałowej.”

Dnia 30-go lipca:

„Główna uwaga w naszym oddziale poświęcona jest znowu sprawie szkolenia. Każdego dnia jedna kompania ma ćwiczenia. Czy to coś pomoże?”

Nastroj wojska obniża się w związku z wydarzeniami wojny. Co tu można żołnierzom powiedzieć? Żeby mieli zaufanie, żeby liczyli na nową broń? A jeżeli nowa broń nie przyjdzie? Nie, na fanatycznych bojowników swojej ojczyzny trzeba ich przerobić. Obrońcami swoich rodzin muszą się stać.”

31-go lipca: „Jedna trzecia batalionu w ludziach i podoficerach odpadła. Co będzie? I w dodatku nie mamy benzyny. Za 30.000 marek towaru musieliśmy zostawić. I wszystkie rzeczy osobiste. Około północy meldunek

W dziesięciolecie śmierci JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO 1935 - 1945

„Polska otoczona jest przez nieprzyjaciół, którzy czekają na chwilę jej słabości, by ją z powrotem w nicość obrócić, by znowu stała się ona igraszką w ich rękę i polem wyzysku jej pracy i dobra na rzecz innych”.

„Polskę, być może, czekają i ciężkie przeżycia. Podczas kryzysów — potarżam — strzeżcie się agentur. Idźcie swoją drogą, służąc jedynie Polsce...”

„Nie chcemy uciekać się do życia wewnętrznego któregośkolwiek z naszych sąsiadów, lecz pozwolić nie możemy, by pod jakimkolwiek pozorem, chociażby pod pozorem rzekomego dobrodziejstwa, naruszano nasze prawo do samodzielnego życia. Nie oddamy ani piędzi ziemi polskiej i nie pozwolimy, by uszczuplono nasze granice, do których mamy prawo”.

„...Można pracować, opierając się na ludzi. Kocha on ojczyznę i właśnie dzięki patriotyzmowi ludzi prostych w groźnych chwilach 1919 r. nie było żadnych rozruchów bolszewickich. Można polegać na ludzi. Robotnicy i włościanie byli żołnierzami niepodległości i wolności. Oto dlaczego bolszewizm nie ma dzisiaj żadnych widoków na przyjęcie się w Polsce”.

„...Tam, gdzie spotkają się dwie siły, muszą się one albo połączyć, albo walczyć ze sobą, a my nie chcemy połączenia się z Niemcami”.

„Gdybyśmy byli zmuszeni połączyć się bądź z Niemcami, bądź też z bolszewikami, znaczyłoby to, że nasze dzieło nie było doprowadzone do końca. Cywilizacyjna misja Polski pozostałaby niespełniona”.

„...Zdołałem wielkim wysiłkiem woli uchronić się od brudu pracy dla okupantów, bo nie dałem zbrukać siebie, ani ludzi, których prowadziłem. Mam za sobą prześladowanie i więzienie magdeburskie. Gdy trzeba było stawiać ostre karty — stawiałem. Jedynie honoru i czci dać nigdy nie chciałem”.

„...Są w życiu narodów i państw zmagania, które nigdy nie ustają. Polskę na równi z innymi narodami oczekuje walka we wszechświatowych zapasach”.

„...Tylko ten człowiek wart nazwy człowieka, który ma pełne przekonanie i potrafi je bez względu na skutki wyznawać czynem...”

„Rok 63 dał wielkość nieznana, co do której i teraz świat wątpi, gdy mówi o nas; wielkość, zaprzeczającą temu wszystkiemu, co my o sobie mówimy — wielkość cudu pracy, ogromu siły zbiorowej, wysiłków woli, siły moralnej. I gdy raz jeszcze rzucam pytanie: Wielkości, gdzie twoje imię? — znajduję odpowiedź: wielkość naszego narodu w wielkiej epoce 63 roku istniała, a polegała ona na jedynym może w dziejach naszych rządzie, który, nieznan z imienia, był tak szanowany i tak słuchany, że zazdrość wzbudzać może we wszystkich krajach i u wszystkich narodów”.

„...Podstawą armii jest dusza prostego żołnierza. Dopóki dusza ta jest silną, armia wytrzymuje dół i niedół, gdy dusza ta się załamie — upadek armii jest nieuchronny. Dobrym oficerem jest ten, który w duszę żołnierską umie wpruć hart, by ona nawet w smutnych kolejach wojny, niepowodzeniach i porażkach nie załamała się”.

„...Tendencja wciągania wojska do dyskusji, szczególnie politycznej, jest niesłychanie zgubna. Z wojskiem naszym trzeba obchodzić się bardzo ostrożnie. Jest to jeden z tych skarbów, który, jak uczą nas przykłady współczesne, łatwo jest utracić...”

(„Pisma, mowy, rozkazy”).

z dywizji, że nieprzyjacieli przedarł się do Amiens. Zaledwie o 100 kilometrów od nas. Spodziewałem się tego”.

I wreszcie ostatni zapis z dnia 13-go września: „Myśl o wszystkim, co poniszczono i co żołnierze wyrzucili, nie opuszcza mnie. Co się zrobiło z naszych żołnierzy roku 1940-go? Ci obecni powinni się wstydzić wobec dokonanych tamtych. Gdzież się podziało ich morale?”

Są między nimi istni komuniści, czekający tylko na okazję, aby przejść na stronę wroga. Powinno się ich wystrzelać. Ogólna sytuacja: walki w Siedmiogrodzie, Amerykanie naciskają na Aachen. Jak mogło się to stać?”

Tyle Leutnant Schiffmann.

Jak mogło się to stać? Wiemy, jak się stało. 1-go września 1939 roku zaczęło się to z waszej woli, z waszego, niemieckiego wyboru. Doświadczaliśmy na własnej skórze waszych triumfów. Na własnej skórze czujecie teraz sami, jak smakuje klęska.

A oto znowu wyjątki z niemieckiego pamiętnika bojowego, zdobytego na naszym odcinku pod Bredą.

Autor jego był z początku roku bieżącego w wojskowej orkiestrze jednego z pułków stacjonowanych w Holandii. Grał na trąbce. Ale potem zamiast trąby dostał karabin. To wszystko działo się w Holandii przed naszym wejściem na jej ziemię. Wyciekiwał ze ściśniętym sercem podchodzenia wojsk alianckich, aż znalazł się na odcinku, na którym walczyła nasza Dywizja. Pod Marksplatz i w Baar-le-Nassau. Jeżeli kogo ciekawi, jak to wyglądało z tamtej strony celownika, niech się wsłucha w opis z dnia 28 września.

„Tommy dusi coraz mocniej, strzela bez przerwy i wysyła naprzód swoje przeciwpancerne czołgi, do których nie sposób dojść. Ciągłe trzeba nam wytrzymywać jego ogień ze wszystkich rur. Jesteśmy już cztery dni i noce w walce, prawieśmy nie spali, a mimo to w każdej chwili trzeba uważać. Z dwóch stron drogi biją granaty, przekłete czołgi już się dostały na naszą wysokość, ponieważ posuwamy się strasznie powoli, niosąc rannego.

Przy pułku nie ma sanitariusza, więc odwożę go do punktu opatrunkowego w Marksplasz. Wracamy na pozycję. Zostało wszystkiego ośmiu ludzi. Reszta ranni albo zabici. Jeden z kolegów odprowadzony do rewiru ma wstrząs nerwowy. Było mu tego wszystkiego za wiele. Nasza grupa trwa aż do wieczora. Potem pada Marksplasz. Zostało nas czterech. Sam miałem 60 metrów odcinka do broni. Maszerujemy w kierunku Bredy”.

3-go października: „Odjadę do Baar-le-Nassau. Tarasujemy drogi, ścinamy drzewa, przewracamy wagony i musimy przetrzymać straszny nalot nurkowców na nasze pozycje. Wnętrze miasta uciepiał od niego, my jednak nie mamy strat. Posiadamy wszystkiego 5 czołgów, 150 SS-ów i 80 spadochroniarzy. Deszcz leje strumieniami. Nocą czołgi odchodzą, wszyscy idą na pozycje, ale odwołuje się przeciwnatarcie z powodu nieprzejrzystego przedpoja. Poza tym jesteśmy za słabi na takie przedsięwzięcie. Leżymy więc pod morderczym ogniem granatów. Aż do północy trwam tak, zaszyty w ziemię z moim kolegą, potem tracę łączność z sąsiadami. Wycofujemy się do lasu i tam spędzamy noc. Następnego dnia meldujemy się w kompanii sztabowej. Tu nam grozi sąd wojenny, jeżeli jeszcze raz się pokażemy na tyłach. Tu zobaczyłem, jak tam oni żyją na tyłach i co myślą o nas, którzy walczyliśmy. Żadnego przyjaznego słowa, nic.”

I wreszcie ostatni dzień, 15 października.

„Już sam nie bardzo rozumiem, czy ma cel jakikolwiek to pisanie. Jeżeli dostanę się do niewoli, książka ta i tak przepadnie. Jeżeli padnę, to przy obecnych stosunkach nie ma nikogo, kto by sobie w ogniu zadał trud szybkiego pozbierania moich rzeczy. Nieprzyjacieli rzuci mnie do dziury i zakopie. Wszystko jest takie bezsensowne.

Od 9 dni leżymy tu w ziemi, przy Ulikote. Wspólną z kolegą dziurę, wykopaną w ciągu dwóch nocy, musieliśmy opuścić. Dziura ma 50 cm wysokości, 1 metr szerokości i 1.20 m długości. Za dnia ze względu na lotników nie sposób wyleźć. Nocą stoimy na warcie. Jakoś jeszcze ogień nienajgorszy, Tommy idzie na Tilburg. Przewyciężyłem sześciu czteroładowe ciężkie zaziębienie. Aż się wiem od gorączki i dreszczy. O 6-ej po obiedzie dawali zwykle ciepłe mleko, to było przyjemne. Noce są zimne i przeważnie deszcz pada, to najgorsze, bo od razu się człowiek zapaskudzi, choć wszędzie piasek. Wszystkie rzeczy są mokre, a kiedy deszcz nie pada, nie można niczego wywieźć dla wysuszenia, bo zaraz to rozpoznają z tamtej strony i jako skutek — ataki lotnicze.

W poprzedniej mojej dziurze, wartownikowi, który się zdrzemnął, poderżnięto gardło. Stanowisko to było znane Polakom. Nie ma człowiek żadnej radości życia. Wszystko jest straszne. Tommy ostrzeliwuje nas z trzech stron, kiedy nas wycofają i kiedy się wreszcie skończy to wszystko?...”

Na tym zdaniu urywa się pamiętnik niemieckiego żołnierza, jednego z wielu, dla których skończyło się wszystko na odcinku Polskiej Dywizji.

MARIA KUNCEWICZOWA

ZMOWA NIEOBECNYCH

ROZDZIAŁ V *)

Gdzie Michał jest? Żywy? Umarły? Dlaczego mimo wszystko znali się tak mało, że nie sposób zgadnąć, co miało według niego nastąpić „kiedy wrócimy do Polski”? A Mr. Costot nie chciał wziąć go na ciężarówkę. „Niemcy w miasteczku! — krzyczał — Niemcy w miasteczku!” — „Ale w cywilnym ubraniu nie muszą mnie zaraz zauważyć”. — „Dostę mam własnej biedy, proszę sobie iść dalej”. — „Nie mogę wlec się tak powoli. Stracę oko. Co wart pilot bez oka?” — „Nie obchodzą mnie angielscy piloci”. — „Jestem Polak”. — „To gorzej: Niemcy na Polaków są bardziej jeszcze zawzięci”. — „Ale pan nie jest Niemcem, co? Jest Pan Niemcem?” To pytanie beznadziejne, maniackie męczyło Karola we śnie i na jawie. Budził się w swoim bedroom'ie w Magdalen, patrzył na księżyc i zgrzytał zębami. „Co? Jest pan Niemcem? Pan nie jest Niemcem!” I czuł krew w ustach, zimno, huk w czaszce, samotność bez granic. Za to Susanne była inna. Susanne i jej brat Ernest byli inni. Ukryli go, leczyli. W pace od węgla przewieźli pod hiszpańską granicę. Usmoleni węglem, zdyszani, zostali przy maszynie, a żandarm niemiecki szedł do nich... Karol nie mógł przestać dziękować Ernestowi. I teraz Tony położył rękę na jego ramieniu, a Karol przestraszył się, bo właśnie mówił w duchu: „Merci Ernest, merci Susanne... Adieu...” Jednak szybko oprzytomniał i ogarnęła go nuda.

— Polacy specjalistami od romantyczności? Może... Ja mało wiem o Polakach.

Rozesłano się.

— Cóż to za grymasy?

— To nie są grymasy. Któż zna siebie? Swoją Matkę? Ojca? Łatwiej jest znać obcych, z którymi żadne afekty nie łączą. A co do romantyczności, to wydaje mi się, że ona może jednych do wojny doprowadzić, drugich od wojny powstrzymać, ale na wojnie nie ma jej. Na wojnie jest tylko zmęczenie i upór, albo obłąd.

— Correct — potwierdził Tony. — Zmęczenie i upór. I tepe żylitki. Bo nawet strach, po pewnym czasie, staje się jedną większą odmianą zmęczenia. Quite correct. Jednak sądziłem, że Polacy są inni.

— Owszem, bywają wariatai. Czy miał to pan na myśli? Anglicy też bywają. Opo- wiadano mi, że pod Tobrukami jakiś facet z *Royal Fusiliers* przed każdym atakiem na bagnety wyskakiwał na skrzynkę, głośno się modlił, a na zakończenie piał „kukuryku”

— To nie był wariat! krzyknął Niki — To imperialista! Modlił się, bo Bóg błogosławił bagnety pobożnych, a piał na pamiętkę Suworowa.

Tony posmutniał.

— To dziwne, jak trudno porozumieć się z przyjaciółmi — rzekł i podeszedł do Daphne. — Pani nie powiedziała ani słowa.

— Bo ona jest największa romantyczka — mruknął Karol.

Po czym się rozesłali.

Karol lubił łązić po łąkach za parkiem. Drobną deszczką mżył, kozy — niezarżone becząły, trawa miękko ugięła się pod stopami. Nad Wisłą tak samo miękko się cho- dzi — myślał — a przy brzegu, w zatoczce koło spichrza rośnie gęsty tatarak. Zuzia lu- biła tatarak...

I znowu — jak topielica z głębi wód — Zuzia wypływała z przeszłości. Ból ode- wał się w piersi. Karol przywykł doń, umiał już neutralizować go i oszukiwać. Przede wszystkim fotografię Zuzi dawno wyjął z portfela i razem z polskim paszportem, listami, kartką immatrykulacyjną, legitymacją Klubu Sporto- wego i innymi warszawskimi pamiętkami, za- grzebał na dnie walizy. W ten sposób praw- dziwa twarz Zuzi na tle zagła — fotografia z ostatniej wycieczki — twarz ciemna z noskiem zmarszczonym w słońcu, z szerokim białym uśmiechem, zatarła się w powoli w pa- mięci. Natomiast twarz topielicy z każdym rokiem robiła się bardziej oczywista. Zuzia — nieładzko spokojna, bez koloru i bez uśmie- chów, widziana jak gdyby przez grubą taflę szkła — z miesiąca na miesiąc wyzywała się znajomych cech. Najpierw straciła głos. Ka- rol, rozpięty wujując jej słowa, pewnego dnia przestał je słyszeć: zamieniły się w sam czy- sty sens — bez dźwięku. Później opadły z niej uśmiechy. Potem róż odleciał z policzków, oczy zgasły. Tak umierała latami, pogrą- żając się na dno ukochanej rzeki — dno Wisły. Teraz była już tylko właściwie imieniem, te- pym bólem w sercu i maską. Ale, zanim do- konała się to ostateczne rozstanie, Zuzia wal- czyła o swój byt przy Karolu. Walczyła raz desperacko, raz podstępnie. Jeżeli pływał, jadł dobrze, śmiał się, albo tańczył, spa- dała nań z powietrza, wzbraniając przyjemności. Czasami robiła to we własnym imieniu, ale często w imieniu Polski, „bo szczęścia nie było w ojczyźnie”. W czerwcu 1940 roku, gdy się wahał, czy nie zostać we Francji, nawiedziła go w biały dzień na bulwarze du Roi René. Z buzi, skurczoną od gniewu, krzychała na niego: „Tchórz! Cheesz walki zaprzestać, więc cheesz mnie opuścić. Ale ja ciebie nie opuszczę. Po francuskich ogrodach krok w krok będę za tobą chodziła”. Później w szkole pilotażu, już na angielskim lotnisku, poganiała

go z godziny na godzinę: „Leć na Niemców, pamiętaj, że oni mnie męczą!” W pierwszym bojowym locie wyfrunęła z ciemności nad Bre- mą i szalonymi oczami błysnęła tak oślepi- ająco, że na sekundę stracił poczucie kierunku. A znowu kiedy indziej używała sposobów czu- łych, lecz bardziej bolesnych. Oto np. prze- niknąwszy w ciało obcej dziewczyny, w ten sposób kierowała jej dłońmi, czy układała jej usta, że Karol nagle porwał się z miejsca nieprzytomny, szepcząc: „ręce, wargi Zuzi...” Dopiero po ostatnim wypadku lotniczym, w czasie wędrowki hiszpańskiej zdarzyło się to, że Karol zaprzęgnął zemstę nad Zuzią za swo- je długie męczarnie. Jakąs senioritę, pełną oddania i wdzięku, sponiewierał i zostawił płaczącą, nie odwróciwszy głowy. Później — w Anglii z powrotem — kiedy wyszedł ze szpitala, Zuzi już przy nim nie było.

Polubił Riverside i Daphne. Zdenka po- wiedziała: „Riverside jest skrawkiem rze- czywistości w Krainie Czarów”. Nie prawda. Dla niego to właśnie była Kraina Cza- rów na wyspie nadto rzeczywistej. Dla niego Wielka Brytania znaczyła: Operation Room, runway, biura, messy, biuletyn mete- rologiczny, ciemność w oczach, ból w sercu, zmęczenie i chojracstwo, chojracstwo i zmęcze- nie. „Polski romantyzm” jednym słowem, czyli harówka na cudzym z trzydniowym wy- mowieniem bez odszkodowania. Poza lotnis- kiem i londyńską knajpą Anglia leżała we mgłach, nieciekawa i groźna. Czary wymyka- jące się z mgieł zaprzeczały wszystkiemu, co za czary uważał. Przez całe dzieciństwo stro- fowano go, gdy kładł język między zęby; tutaj seplenienie było warunkiem dobrej wy- mowy. W Warszawie nazywano „trupami na urlopie” młodych ludzi, którzy nie dawali wy- razu uczuciom; tutaj nazywano ich gentle- menami. Panienki polskie miały obowiązek przenoszenia nad wszystko misterium miłos- nych we dwoje; tutaj miłość zyskiwała smak dopiero na tle szumnej „party”. W Pol- sce wyśmiewano, jak kretyna, człowieka mó- wiącego o pogodzie, tutaj — człowieka mówią- cego o polityce. Jednak z poza beznamiętnych twarzy, z poza klubów i pogód, przeglądała po- lityka. Nie ta fantazyjne kawiarńiane — sport inetelektualistek i poetów, ani ta pod- wórzowa — sejm nieustający maglerek i bez- robotnych, tylko żywioł samoistny, drapieżne fatum, wiedza tajemna wielkich magów wła- dzy i pieniądza. Karol ze swoją polską racją stanu, zasztyła w szkaplerz, niezależną od wojsk, ani od banków, dziecinnie prostą, streszczającą się w archaicznym słowie „wol- ność”, bał się brytyjskiej polityki. Bał się nie „czarów” Anglii, lecz właśnie jej realiów. W Oxfordzie Anglia wyrzucała się z mgły: u- ciekał zatem na farmę Budiów...

Tutaj był kontynent... Tutaj przyszłość wyglądała tak samo enigmatycznie, jak w Polsce, i nawet słowa „There will always be an England” miały dźwięk niepewny. Kłócono się, szukano w parku miejsc odludnych, wbrew oczywistemu interesowi ignorowano pogodę, walczono przeciw czasowi i czasem. Tutaj — wśród najswobodniejszych ludzi świata — tęskniono do wolności. Po trawniku angiel- skim suwały się kukiełki, ustrojone w kostiu- my dalekich narodów, nagich i bezgłosnych. Śpiewano tu ich pieśni, spożywano potrawy, które wróg dawno z ich stołów pozniatał. Głoszono ich urode, ich prawa. Karol znał Grecję, Jugosławię, Rumunię... Znał za dni pokoju, zarówno jak wojny. Pamiętał czarne, sękatę ręce chłopów rumuńskich, wyciągnięte z jarmużną do uchodźców, i te same ręce — dawniej — grzebiące rozpaczliwie w ziemi, z której znikł ostatni przemarznięty kartofel. Pamiętał smród ubogich ateńskich uliczek i, na drodze do Pireusu, osady przymusowych repatriantów z Azji, pełne osiupiałej czeka- nia, by skończył się koszmar, niechcianej, za- pomnianej „ojczyzny”. Pamiętał koniokraków rozpartych w winiarniach Zagrzebia i Serbów tak dumnych z każdego chorwackiego nie- szczęścia, jak dumny bywał Indianin ze skalpu Białej Twarzy. Pamiętał, ale tych wspomnień unikał. Patrząc na małą Ileanę w baranin kubraku, na ikony i na stoły czarne, nabijane mosiężnymi ćwiekami, myślał tylko: jakie to ładne, jakie nietutejsze! A tak znajdował wy- technienie od rzeczywistości.

Daphne nigdy go o nic nie pytała. O so- bie opowiadała rzeczowo, z humorem, jak o bohaterce komicznego filmu, nigdy nie po- padając w zwierzenia. Nie próbowała też pro- wokować ocen swego postępowania, czy losu, a nawet swojej osoby. Nie dziwiła się żadnym odruchom, ani słowom Karola. Nie uciekała przed nim, ale i nie przesładowała go. Polubił ją więc najpierw za to, czego nie robiła. Póź- niej przyszedł podziw dla nóg, oczu, uporu w pracy, zręczności nieswiadomej w unikaniu pułapek tak obcego dla niej terenu — wresz- cie dla owej „konstruktywnej” postawy wobec wojny i własnego życia. Sporo czasu spędza- li razem w ten sposób, że ona obrzydzała swo- je zwierzaki, czy rośliny, a on chodził za nią paląc papierosy, dźwigając co, było ciężkie, albo wprost patrząc i gwizdząc. Któregoś bardzo zimnego popołudnia policzki Daphne były aż zielone z błądosi, a palce sine. Objął ją i przycisnął do siebie. Podała się bez o- poru, sama naciągnęła ściśniętą na grzbiet po- le jego palta. Także i pocałunki przyjął wdzie-

cznie. Ale kiedy odjeżdżał do miasta i przy- trzymał jej rękę, szybko cofnęła dłoń. Zacin- ając się powiedziała: „Nie nie, Charlie, bądźmy lepiej przyjaciółmi”.

Trwała więc ta idylliczna przyjaźń wśród prosiat, niezamącona przez żywioły. Aż kie- dyś, w końcu listopada, Daphne odszukała Ka- rola, ledwie przyjechał z Oxfordu, i kazala mu iść za sobą do szklarni. Tam, siadłszy na murku, najpierw mileżała, potraszając puszy- stymi włosami, potem odrzucała w tył głowę i ze wzrokiem utkwionym w gałązkę win- ną wysoko nad sobą, powiedziała: „Charlie, ja się zdecydowałam. Ja widzę i rozumiem coraz lepiej, że ta rzecz musi wcześniej czy później się zdarzyć. I ta rzecz może się zda- rzyć z kimś, kogo wcale nie będę lubiła. Nie chcę, żeby tak było. Wolę, żeby był to ktoś, kogo bardzo lubię. Ktoś taki, jak ty. Czy mnie rozumiesz?” Rzuciła nań szybko, ukos- ne spojrzenie, ciągle spokojna. Otóż nie: nie rozumiał jej. A raczej rozumieć nie chciał. Zbyt dalekie to było od tej gorącej ciszy, te- go dreszczu, tych oczu zamglonych, tych roz- dzierających niepokojów, które dla niego ozna- czały miłość. „Darling — powiedział — dzię- kuje ci. Namysł się jeszcze. Ja zaczekam.” Wtedy dopiero oblała się ciemnym rumieńcem. Wstała szybko. „All right. Czy nie wiesz, gdzie jest sekator?” — spytała. Pomagał jej przez chwilę przycinać pędy i pod bylejakim pozorem odszedł. Złość w nim wrzała: „Na- myśli się, namysł — powtarzał w duchu, jak obelga. — Ty przecież niczego nie robisz bez na- myśłu. Mogłaś myśleć tyle miśsięcy, myśł jeszcze... Może wtenczas zrozumiesz, że nie dość jest „lubić”, aby „ta rzecz” mogła tobie przydarzyć się ze mną”. Długo nie zjawiał się na farmie. Kiedy wrócił, Daphne nawet drgnieniem powiek nie dała poznać, że pamię- ta. Widywali się krócej i Karol zaczął jej dokuczać. Sprawa „konstruktywności” zna- komicie temu służyła. Ale land girl miała nieprzebrane zapasy pobażania.

I wreszcie, podczas owej dyskusji o Jane Austen, w Karolu dokonał się przelom. Daph- ne, siedząc w półmroku pod oknem, milczała. Twarzy jej nie było widać. Zaraz przy pierw- szym zdaniu Zdenki o „sielankowej mie- szczce” pomyślał: „Daphne nie jest taka” i — wbrew logice — poczuł się raczej w obozie „Emmy”, niż jej pogromczyń. „Słowa, słowa — narzekał pod nosem — za dużo wspania- łych słów”. Krytyczną uwagę M-me Budić o akademickich dyskusjach przyjął z gębokim zadowoleniem, a kiedy Niki wspomniał „uro- czą pacyfistkę”, sprężył się, gotów walić, jeś- liby pod jej adresem paść miała jakakolwiek zaczepka. Dlaczego oświadczył, że „Daphne jest romantyczką” — nie umiałby wyjaśnić.

Włóczył się teraz po mokradłach, niepew- ny dokąd iść, żeby ją spotkać „przypadkiem”. Naraz przypomniał sobie Ileanę. Są w szklar- ni. Wygrzebał z kieszeni parę miętowych kar- melków. Poszukam Ileany... Po drodze imię „Zuzia” musnęło go jeszcze w przelocie, ale nie wruszył się. Wszedł twardym krokiem do szklarni. „Jest tu Ileana?” Ileana, z policzka- mi wypchany, wypęziła spod starej łoży. Sekator szeptał... Daphne była tam także. „Rozpuszczasz to dziecko — zagał — przy- nosiem jej cukierków, teraz nie dam”. — „O, nie, Ileana nie pozwoli się zepsuć...” — „Skąd ta pewność?” — „Ciebie też na pewno psuła, a nie dałeś się”. Coś cisnęło go za gardło. „Ja też się nie dałem? Skąd wiesz?” — „Robisz wszystko co do ciebie należy, a może więcej...” Usiadł. „Komplementy. To bardzo nowe u ciebie. I bardzo przyjemne”. Szczęk sekatora przybliżył się. Zagarnął ją ramieniem. Po czym wręczył Ileanie karmelki, mówiąc: „Matka ciebie wola”. Dziecko znikło. „Daphne — rzekł — powiedz mi jedno. Teraz kiedy się nie gniewasz... Powiedz mi: czy ty chcesz, żebym się z tobą żenił?” Patrzył jej w twarz z bliska z wielkim wytyczeniem. Oczy dziewczyny zaszyły łzami. Powoli kilkakrotnie zaprzeczyła głową. „Więc do czego ta rzecz ma prowadzić? Do jakiej konstrukcji?” Zer- wała się z jego kolan. „You are cruel, cruel!” krzyknęła. Wtedy dopiero poczuł szczęście. Także zupełnie nowe. Nie Rudzińskie, ale i nie angielskie — swoje własne. Szybko objął ją i całował tak mocno, że nie mogła już my- śleć. Kiedy znowu siedziała na jego kolanach, powiedziała: „Więc miałem jednak rację: je- steś romantyczką”. Umówili się, że wieczó- rem będzie na nią czekał w Oxfordzie przy autobusach.

Po herbarcie Karol z Tony'm wyruszyli sa- mochodem Budiów do miasta. Tony, jak zwykle po wizycie w Riverside, zupełnie był do normalnego Kestera niepodobny. Normal- ny Anthony Kester, dziedzic fortuny, tytułu i stosunków papy, który historyczne lordost- wo przyzodobał w swoim czasie wysokim urzę- dem, wyglądał jak roztargniony nauczyciel szkoły powszechnej. Po kilku godzinach na farmie przeobraził się wszakże w podniecone- go intelektualistę o gwałtownym słownictwie, szerokich gestach i dużej wylewności uczuć. Urodzony z matki Irlandki, po wczesnej śmier- ci ojca, przyjął katolicyzm. Był katolikiem stało się jego karierą i najwyższą ambicją. Wychowanek Downside (szkoła prowadzona przez Benedyktynów) swój pobyt w Oxfordzie, i w ogóle na świecie, traktował jako misję u

pogan. Nie wiadomo, czy przez pietyzm dla pamięci ojca — protestanckiego rygorysty, czy przez nerwową obawę narażenia się jego duchowi, czy też przez ciekawość bardziej luźnych form życia, za teren apostołstwa naj- chętniej obierał środowiska protestanckie, takie, gdzie religia była w zaniku, albo przy- bierała formy nieortodoksyjne, podobne raczej do marzeń, niż dogmatów. Magdalen College, pełen estetycznych agnostyków, kontynuatorów Wilde'owskiej tradycji, a także różnych bohemiankich filozofów, anarchistów, cu- dzoziemców, bogatych play-boys'ów, wyzna- wców Erosa i wszelkiej narkozy — stanowił idealną dzunglę dla łowcy dusz. Nie będąc stypendystą, Tony — inwalida drugiej wojny światowej w randze porucznika Irish Guards — poczuwał się do całkowitej swobody sza- fowania czasem i pieniędzmi. Cel bowiem w tym wypadku dosłownie uswiecał środki. Wbrew temu, czego się po nim spodziewano, działalność swoją na czwartkowych turniejach wymowy w Oxford-Union, w Klubie Konser- watywnym, a nawet w Towarzystwie Kardyna- na Newmana, ograniczył do rzadkich, zdaw- kowych wystąpień. Atmosfera wszystkich tych zrzeszeń wydawała się mu za chłodna. Nie czuł w sobie dość ognia, by ją rozplomie- nić, nawracanie rozsądnych na mistycyzm od- kładał do czasu, kiedy sam będzie już gorzał tryumfami nad ziemską ułudą. Narazie ze- rował na „parties” u wdów po kontynental- nych mężach stanu, albo w pracowniach ma- larek ze Slade School, w barze Play House'u między aktorami i na wieczornych pogawę- dkach u kolegów w Old Buildings.

Zdenka Budić, Niki i Karol — takie były ofiary, które sobie na łowach upatrzyły. Z po- czątku najbardziej pociągał go Niki cynicz- nym humorem, za którym Kester podejrzewał skarb niewygasłych buntów. Ale wkrótce od- krył, że cienie i światła w oczach pięknego Greka, jego demoniczne uśmiechy i natchnio- ne zadumy, jeśli wynikały z walk wewnętrz- nych, to raczej między hormonami, czy gena- mi, niż między aniołem a diabłem. Okazało się po wielokroć, że Niki, głosząc krącoży- oportunist, bynajmniej nie sztydził z ludzkości, ani nie pastwił się nad własną duszą, tylko z prostotą dziecka mówił swoją prawdę. Był rozsądny, bez wstydu i bez odwołania do in- stancji publicznych; był właściwie lewantyń- ską karykaturą tego, co Tony uważał za ty- pową małoduszność brytyjską. Straciwszy nadzieję na wybuch pasji Nika, Kester, acz- kolwiek zawsze pod urokiem jego ciemnych spojrzeń, zwrócił się z kolei po zapał do Zden- ki. Tu gra wynikała trudniejsza. Za mało miał doświadczenia, by odróżnić kiedy wysoka tem- peratura tyrał pochodziła z zapalczywego su- mienia, kiedy ze zwykłej panińskiej gorączki, a kiedy z tej smutnej złości, która nurtuje ubogie narody zarówno jak ludzi ubogich. Zdenka niewątpliwie była patriotką jugosło- wiańską, co prowadziło do stałej irytacji na matkę Greczynkę i — w stopniu znacznie wyższym — na moźnych tego świata, dla któ- rych los Słowenii, czy Serbii stanowił nieważ- ną dygresję na marginesie własnych dzieł. Tony pragnął sprowadzić jej uczuciowość na grunt metafizycznej spójni istot tęskniących do Boga, ażeby samemu ogrzać się w tym cie- ple. Ale Zdenka nie ufała abstrakcjom. Ku zgryzocie Kestera, paliła się do wniosków po- litycznych, których idealizm wyraźnie pokry- wał interes jej słabego kraju.

Anthony Kester Polski nie uważał za kraj słaby. Uważał ją za kraj chłonicznie źle rzą- dzony, zamieszkały przez fantazistów, którzy postanowili swoją historię budować na prze- kór ogólnie uznanym zasadom fizycznej i mo- ralnej równowagi. Jaka była polska zasada równowagi, Tony nie próbował dedukować z faktów geograficznych, czy gospodarczych. Zafascynowany Janem Sobieskim, powstania- mi, kultem romantycznych poetów, wreszcie sławą „narodu bez Quislinga”, wolał wierzyć, że sekret jej przedziwnej postawy leży w for- mule magicznej katolicyzmu, wiadomej tylko najbardziej wtajemniczonym. Na tę magicz- ną formułę liczył, jako na broń przyszłości. Broń przeciwko anglosaskiemu ospalstwu, rosyjskiej barbarii i niemieckiej pysze. Ka- żdy Polak był dla niego przede wszystkim „ma- sonem” katolickim wysokiego stopnia, wypró- bowanym przez niebo i piekło. Tymczasem Polacy, których witał w charakterze ducho- wego krewnego, niezmiernie rzadko zdradzali gorliwość katolicką. Informacje o nabożeń- stwach w Kaplicy przyjmowali obojętnie, oży- wiając się dopiero, gdy wspominał, że i pol- ski ksiądz czasami msze odprawia. Misjonar- skich zapędów w stosunku do protestantów, niedowiarków czy Żydów nie przejawiali. O papieżu mówili z przekąsem. Anthony nie zrażał się jednak: trudność kontaktu kładł na karb własnej niższości w hierarchii owieczek Piotrowych. Mimo, że pół-Irlandczyk, czuł się co najwyżej nawróconym apostołem. Karo- la pierwszy raz zobaczył w okolicznościach symbolicznych: w kościele po komunii. Od- szedłszy od Stolu Pańskiego, sunął skupiony w głąb nawy. Modlił się do Chrystusa o łaskę spotkania jakiegś zrozpaczonego duszy. Prosił, ażeby danym mu było też duszę pocie- szyć, a przez to umocnić własną wiarę. Wtedy właśnie wzrok jego padł na lotnika z naszyw- ką Poland, z czarną przepaską na oku i z twa-

(Dokończenie na str. 5-ej.)

*) Por. nr. 24 (42), 1 (43), 2 (44), 3 (45), 4 (46), 6 (48).

POLONICA W KSIĄŻKACH ANGIELSKICH

WRAŻENIA Z POLSKI

Chesterton a Polska

Niedawno ukazała się obszerna monografia Chestertona pióra Maisie Ward¹⁾. Omalwiała ona m. in. pamiętną wizytę znakomitego pisarza w Polsce w r. 1927 na zaproszenie warszawskiego P.E.N. Clubu. Podróż odbył Chesterton w towarzystwie swej żony, Frances, i sekretarki, Dorothy Collins: „okazano tu niezmierny entuzjazm dla człowieka, który ustawicznie podnosił wielkość Polski i jej prawdziwe miejsce w Europie”.

Chesterton zawsze pragnął napisać książkę o Polsce. Uważał, że Anglicy i Polacy mają wiele cech wspólnych, ale że Anglicy nigdy nie miał okazji zrozumienia Polaka. „Nonsensy dzienników, kiedy prawią one o tym, co nazywają polskim korytarzem — mówił Chesterton — wynikają z niezrozumienia przedrozbiorowych dziejów Polski. Poza tym Anglicy nie zdają sobie sprawy, że Polacy zawsze muszą wybierać „pomiędzy dwójmiejem złego (the Poles always have a choice of evils)”. Piśmudski powiedział Chestertonowi, że z dwójmiejem złego woli Niemcy, a Dmowski reprezentował bardziej powszechną opinię, że z dwójmiejem złego lepsza jest Rosja. Tak czy inaczej, Polska — będąc panią swoich losów — przeżywała chwile niezwykłego szczęścia. Odrodzenie rolniczego kraju następowało „zdumiewająco szybko”. Licznym posiadaczom chłop-skim dobrze się powodziło na 7-hektarowych gospodarstwach, a nawet robotnicy rolni mieli własne kawałki ziemi i jedną lub dwie krowy.

W liście do matki, pani Chesterton skarży się nieco na obfitość obiadu wydanego przez P.E.N. Club, ale podkreśla, że „mowy były zdumiewająco doskonałe (perfectly marvelous), wygłoszone całkiem potoczną angielszczyzną i bardzo dowcipnie, przy czym ujawniały taką dokładną znajomość dzieł Gilberta, jakiej nie posiada żaden z moich znajomych Anglików”.

Chesterton wiele rzeczy widział w Polsce, ale najbardziej utkwił mu w pamięci epizod następujący. Pewien młody ziemianin opowiadał pisarzowi, że wprawdzie jego dom w ogniu walk został zniszczony w 1919 r. przez żołnierzy bolszewickich, jednak żywi on do nich żal tylko za jedną rzecz: „...Zaprowadził nas długą aleją topolową do posagu Matki Boskiej; miała odstrzelone głowę i ręce. Ale ręce były podniesione do góry; i jest rzeczą dziwną, ale wydawało się, iż to okaleczenie nadaje większy sens postawie wstawiennictwa: prośbie o litość dla beznamiętnej rasy ludzkiej”.

Sympatie Chestertona dla Polski ujawniały się w całej jego działalności publicystycznej. Ujawniały się szczególnie w okresie prac nad traktatem wersalskim. Stanowisko swoje określał Chesterton jasno w liście otwartym do Rufusa Isaacs („New Witness” z dn. 13 grudnia 1918 r.), który jako delegat brytyjski miał towarzyszyć Lloyd George’owi na konferencji pokojowej. Z Isaacsem zmierzył się już raz Chesterton, kiedy to organ jego brata, Cecilia, pierwszy ujawnił aferę Marciano, w której Rufus — podówczas prokurator naczelny, w okresie wojny prezes sądu najwyższego, potem wicekról Indii — przez nabycie akcji tego towarzystwa był zamieszany. Mianowanie Isaacs delegatem na konferencję pokojową — pisał biografka Chestertona — oznaczało niebezpieczeństwo dla Polski, łącząc się bowiem z dążeniem międzynarodowej finansjery do podtrzymania Niemiec. Zastanawiając się, w jaki sposób mogło się stać, że Rufus Isaacs, „zblakany makler giełdowy”, mógł narodowi angielskiemu narzucić siebie jako najwyższego lorda sprawiedliwości, pisał Chesterton, iż nie chodzi o to „do jakiego stopnia Pan się nam nie podoba, ale do jakiego stopnia Pan się nam podoba: albo też czy podoba się Pan nam bardziej niż Anglia, bardziej niż Europa, bardziej niż Polska — filar Europy, bardziej niż honor, bardziej niż wolność, bardziej niż fakty”. Zagadnienie, czy Anglia przegra wojnę, którą już wygrała, wiąże się ściśle z zaspokojeniem narodowych pretensyj Polski. Pelen gorczy, sarkazmu i zjadliwości list kończy się wezwaniem: „Danieli, synu Izaaka, odejdź w pokój, ale odejdź”.

W tym czasie żona brata Chestertona, Cecilia, który padł na polu chwały, odwiedziła Polskę i w szeregu reportaży ukazała walkę Polaków o życie i wolność. W „New Witness” pojawiają się artykuły publicystów polskich. W redakcji tego pisma — dodaje Maisie Ward — nie było na pewno nikogo, kto był takim ignorantem, jak Lloyd George, który nie wiedział, gdzie znajduje się Cieszyn. Na tym zresztą polegała tragedia Wersalu. Reprezentanci Ameryki i Anglii nie orientowali się należycie w stosunkach europejskich. Nawet Wilson był doktrynerem, który przekładał mętne koncepcje Ligi Narodów nad rzeczywiste narody, jak Polska czy Włochy. „New Witness” powtarza ustawicznie, że tylko od jednej rzeczy zależy stały pokój w Europie: od usunięcia Prus z ich przodowniczego stanowiska w Rzeszy — Polska, Włochy i Francja muszą być silne. Niestety, „zarówno Lloyd George jak Wilson byli nastawieni zbyt antykatolicko,

aby sympatyzować z katolicką Polską (jeśli chodzi o Lloyd George’a, trzeba mówić o nienawiści do Polski)”; Lloyd George działał „wściekle (savagely)” przeciw przyszłej Polsce. Belloc przepowiadał, że z pokoju wersalskiego zrodzi się wiele wojen. Wprawdzie Czesi dostali wszystko czego chcieli, d’Annunzio zaś zdobył dla Włoch Fiume — ale Polska nie osiągnęła swoich celów. Zawierzyła ona sprzymierzeńcom i czekała na rezultaty konferencji pokojowej — w tym właśnie czasie Niemcy wypędzili Polaków z Prus Wschodnich.

„Lloyd George i Churchill — pisze dalej autorka — wysłali korpus ekspedycyjny do Archangielska na pomoc „białym” Rosjanom, ale gdy bolszewicy najechali Polskę, nie udzielono jej poparcia. Podobnie sprzymierzeni nie zaopatrzyli Polski w przyrzeczone jej surowce, potrzebne do odbudowy życia gospodarczego. Nasze pisma ustawicznie donosiły o pogromach w Polsce. W rzeczywistości dokładne badania, przeprowadzone przez pisarzy z „New Witness”, nie mogły wykryć żadnych pogromów w miastach, których nazwy podawano”.

W kwietniu 1919 r. Chesterton w mocnych słowach przepowiadał, jaka przyszłość czeka Europę, jeżeli odmówi się Polsce prawa do potęgi. Zachodowi grozi zemsta Niemiec i anarchia Rosji: jeżeli po naszej stronie nie znajdzie się chrześcijański i rycerski puklerz, ja-

kim jest Polska, „będziemy mieli na karku pół Europy i być może, pół Azji”. Jeżeli Polacy uzyskają Gdańsk i bezpieczną linię komunikacyjną z Zachodem, będą skorzy do udzielenia temu Zachodowi pomocy. Jeżeli Gdańsk nie uzyskają, nie będą mieli powodu i możliwości udzielenia tej pomocy ani Zachodowi, ani w ogóle komukolwiek. Chesterton dodaje, że polski port jest jedynym miejscem na całym świecie, które powinno być utrzymane, i że to właśnie miejsce zostanie oddane. Machinacje antypolskie przypisywał pisarz międzynarodowej finansjerze, twierdząc, że prawdziwie angielska opinia publiczna nie ma z tym nic wspólnego. Prawdziwa Anglia dochodziła do głosu na polach bitwy: dzięki przelanej krwi angielskiej krzyż zastąpił półksiężyc w Jerozolimie, Alzacja i Lotaryngia wróciły do Francji, a Polska zmartwychwstała.

Chesterton przypomina, że Polacy powstawali raz po raz, kiedy trzy kolosalne mocarstwa nie chciały dopuścić, aby stali się oni narodem. Zdrowy rozsądek nie pozwala przypuszczać, że jeżeli uczyni się ich półnarodem, nie będą pewnego dnia próbowali stać się całym narodem. „Ale wtedy wrócimy tam, skądśmy wyszli, po nowym okresie terroru i udręki i ohydnych jatek — wrócimy tam, gdzie mogli byśmy — w pokój i całkowicie bezpieczni — stać mocno dzisiaj”.

ZMOWA NIEOBECNYCH

(Dokończenie ze str. 4-ej)

razą ściągniętą cierpieniem. Widać było od razu, że ból tego chudego, wysokiego chłopca nie płynie z choroby; w jego zdrowym oku, utkwionym w ołtarz, błyszczała obsesja zgoda nie fizyczna — jakieś żądanie uparte, czy też jakiś egzaltowany niedosyt, nie mający nic wspólnego z potrzebami ciała. Anthony ukląkł obok i ukorzył się w modlitwie dziękczynnej. Ale lotnik znikł już przed drugą Ewangelią. Jakaś była radość Kestera, kiedy przy lunch’u w Magdalen ujrzał go za swoim stołem! Niestety, Karol okazał się młodzieńcem małowymnym, zamkniętym w sobie, raczej żartobliwym. Tajemniczymi sposobami zyskał wkrótce popularność wśród bohemy, w Kaplicy nigdy więcej się nie pokazał, należąc do Newman’s Society odmówił, na spacerach chadzał w towarzystwie pewnego Hindusa. Jedyną okazją tropienia go i osaczenia zdarzała się na farmie Budiów, ale tam znowu ona nimfa od prosiat zdawała się go absorbować.

Tony z radości stracił dech w swoich postrzelanych piersiach, kiedy Karol, umościwszy się koło niego w samochodzie, od razu zaczął gadać — poufały, ciepły — nagle bardzo bliski.

— Słusznie pan Zdence wypominał, że pogoda kobiet angielskich umożliwia być wielu rozbikom na tej wyspie. Oni mają w sobie wspaniałą zgodę na życie wbrew wszystkiemu. I nie ubóstwiają słów tak po dziecinemu, jak nasze kobiety. Jeżeli czasem mówią rzeczy, których same nie dość rozumieją, mają odwagę w pewnym momencie zapomnieć i żyć jak gdyby słów nie było.

Tony się zażenował.

— Hm. Właściwie ja może nie to miałem na myśli, broniąc Jane Austen. Bo na ogół wcale nie jestem za tym owczym witalizmem, do którego ostatecznie prowadzi protestantyzm w jego anglosaskiej odmianie... Tylko że w porze katastrof dobrze jest czasem pospacerować po parku, posłuchać beczenia owiec... Więc w końcu i „Mansfield Park” ma swoją rację bytu.

— Ależ ja naprawdę zaczynam lubić „Mansfield Park”. Kto wie, może więcej niż Riverside...

— Ach, to niedobrze! — Kester zamachał ramionami w przykrótkich rękawach. — Tyle stojących wód w tych angielskich parkach... Po co to panu? Wszyscy powinniśmy płynąć z jakimś bystrym nurtem. A pan bardziej niż inni predestynowany jest do szybkości. Do lotu.

— Dlatego że lotnik?

— Nie. Ze Polak.

— Wcale nie widać, żeby Polacy byli predestynowani do szybkości. Czy pan wie, ile samochodów przypadało u nas na stu mieszkańców w roku 1938?

— Nie jestem ciekaw! Postęp techniczny aż nazbyt często pokrywa się ze stagnacją psychiczną. Pan chyba musiał nieraz o tym myśleć... Pan przecież umie... Przepraszam! Widziałem, jak pan się modlił... To nie była konwencjonalna modlitwa.

Anthony Kester, syn „drennianego Jack’a”, torysa i Wikehamisty, zblił, popelnisz tak straszny grzech przeciw dyskrekcji. Ale Karol nie wyglądał dotknięty.

— Ach, widział pan! Więc powiem o co się modliłem: żebym mógł przestać wreszcie myśleć i spieszyć się, żeby jakaś spokojna kobieta stanęła w poprzek mojej drogi na zawsze...

Powiedział to jednym tchem i urwał. I zblił także.

Zamilkł. Anthony mimo to czuł, że jego „wielka okazja” trwa. Przekrzykując zatem łomot serca, nienaturalnie głośno zapytał:

— Czy uznanie pańskie dla angielskich kobiet wynika z przyjaźni dla Daphne? Czy naprawdę uważa ją pan za romantyczkę?

Karol nastroszył się.

— Ach, nie wiem! Przede wszystkim uważam ją za wspaniałe zbudowaną dziewczynę. W jaki sposób córka rzeźnika może mieć takie wspaniałe nogi i taki spokój w sobie?

Jak koń z ostrogą w boku, Tony nieprzymownie rwał naprzód.

— Pan się zdradza! Pan się ciągle zdradza... Panu nie chodzi o fizyczne wartości! Spokój nie ma nic wspólnego z budową ciała.

— Owszem, ma. Harmonia daje spokój. Skąd w takiej nieciekawej klasie społecznej — bez tradycji, bez majątku — tyle piękna i tyle spokoju?

Dosyć pyszny uśmiešek przewiał po twarzy Kestera.

— W Anglii nie ma klas społecznych bez tradycji i bez majątku. Pra-pradziad Daphne był już prawdopodobnie zamożnym i pięknym rzeźnikiem. Ale pański pra-pradziad, Karolu, był na pewno wojującym Polakiem i niezłomnym katolikiem. I to jest wyższe piękno.

— Może, może. Mój pradziad rzeczywiście bił się w jednym powstaniu, mój dziad w drugim, ojciec w Legionach Piśmudskiego, a ja... Mniejsza z tym. Katolikami, owszem, byli. Katolicyzm nie wiele im pomógł. Ja, proszę pana, lubiłem żeglarsstwo i filologię klasyczną. Ja hymn się może tym niższym pięknem zadowolił.

— Rozumiem pańską gorycz — Polska zawsze walczy sama. Jednak, kiedy ta dziewczyna spodobała się panu, cóż pan o niej powiedział: „Romantyczka”. A przecież romantyzm jest zaprzeczeniem spokoju.

— Uff, co za inkwizycja! Powiedziałem tak, bo w istocie zdaje mi się, że Daphne ma wysoce bezinteresowny i odważny stosunek do życia. Ale to jest inny romantyzm, niż w Polsce. On spokoju nie wyklucza. Czyż pacyfści nie są romantykami?

— Tak, ale czy romantycy w Polsce mogą być pacyfistami? Czy może być pacyfistą człowiek osaczony przez diabły? Polska jest awangardą Wojującego Kościoła.

— Za wiele jest wojujących kościołów. Bolszewizm także jest wojującym kościołem. Hitleryzm także.

Niechże pacyfści nie pomagają kościołom szatana. Daphne nie przez to im pomaga, że zamiast zastępować, czy pielęgnować żołnierzy, karmi ich. Ale przez to, że zamyka oczy na tło, na ciemność, zatopiona w mirażu swojej aseptycznej „konstrukcji”. Jakże można budować na bagnie, czy na pustce, albo wśród drapieżnych zwierząt? Trzeba najpierw wywalczyć świat, w którym można mieszkać.

— Dobrze. Wywalczyć. Ale jak? Czy można wywalczyć dobry świat bombami i gazami? — Roześmiał się. — Dziwnie to brzmi, że ja, polski dzikus, chronicznie powstaniec, człowiek leśny, pytam o to angielskiego lorda.

Anthony nerwowo splótł dłonie. Znużenie wydużyło mu rysy, w oczach błyszczał upór. Zwrócił się całym ciałem w stronę Karola, dotknął jego ramienia.

— Czyż nie jesteśmy obaj katolikami? — mówił teraz cicho, zdyszany. — Co wobec tego znaczą wszelkie różnice... Zgadzam się z panem, że nie należy przeceniać słów. Ja nie to panu powiedziałem, co chciałem. A pan nie zechciał, czy nie mógł, powiedzieć mi tego co czuje. Nic nie szkodzi. Są lepsze między ludźmi środki porozumienia, niż słowo. My się porozumiemy kiedyś.

Cofnął rękę i zeszytywniał. Karol gwizdał. Wjechali na most. Rzeką Shelley’a, bezłoneczna Cherwell, matowa jak oczy Daphne, płynęła pod nim ku soczystym łąkom. Przed bramą Magdalen, pożegnawszy szofera, Tony stanął.

— Karolu, — rzekł — nie lódz się. W tym kraju spokój jest tylko na twarzach. W sercach nie ma go. Maria Kuncewiczowa

Spotkanie z Paderewskim

Stephen Bonsal był w r. 1919 członkiem delegacji amerykańskiej na konferencję pokojową w Paryżu — przekładał dla Prezydenta Wilsona i p. House’a przemówienia francuskich mężów stanu na język angielski. Dziennik Bonsala dopiero obecnie ukazał się w druku²⁾. Znajdujemy tu kilku wzmianek o wystąpieniach Dmowskiego na konferencji pokojowej, poza tym autor spotkał Paderewskiego w marcu 1919 r. w czasie swej podróży z gen. Smutsem do Wiednia.

„W Buchs Paderewski wszedł do pociągu. Był bardzo wylany, ale okrywał tajemnicą skąd i dokąd jedzie. Nagle prawdziwie dziecinny rumieniec oblał mu twarz i z charakterystycznym gestem odgarniania włosów, który później na posiedzeniach w Paryżu tak nas bawił, powiedział: „Czasami budzę się w nocy i nie mogę sobie znaleźć miejsca. Dlaczego? Powiem panu. Wspominam ów listopadowy poranek, kiedy przyjechałem do Paryża i wpadłem do sypialni pułkownika o godz. 7.15. Jakże mu się naprzykrzałem! Czy myśli pan, że kiedykolwiek mi przebaczy?” Był bardzo zadowolony, kiedy zapewniłem go, że wszystkie jego wizyty są mile widziane i że zawsze są na czasie bez względu na to czy przychodzi o północy, czy wczesnym rankiem. Zapewniłem go, że nie może się zdarzyć, aby przyszedł w nieodpowiedniej porze, i istotnie słowa moje odpowiadały rzeczywistości. Kiedyś słyszałem, jak ktoś ze straży przybocznej tłumaczył: „Paddy jest ulubieńcem pułkownika. Myślimy, że lubi Paddy’ego bardziej nawet niż Tygrysa”.

Angielka o Polsce

Znana w kołach towarzyskich Londynu podróżniczka, p. Roseta Forbes, przemierzyła niemal cały świat, stykając się bezpośrednio chyba z wszystkimi głowami koronowanymi i najwybitniejszymi mężami stanu. O podróżach swoich w latach 1920 — 1934 powiada zajmując w niedawno wydanej książce „Gypsy in the Sun”³⁾. Znajduje się tu kilkadziesiąt wierszy poświęconych Polsce, która „tak rozkoszowała się niepodległością, że niedostatecznie myślała o przyszłości. W Warszawie mieszkaliśmy u Raczyńskich, w historycznym pałacu, któremu Joyce, Angielka, młoda żona Raczyńskiego, przywracała dawną piękność. Kocham Polskę. Kraj ten jest tak skąpym we krwi i bohaterstwie, że sam stał się sztandarem bojowym. Polacy uczynili z wojny miłość, namiętność i przygodę. Bronili zawsze przed przeważającymi siłami nie tylko swego kraju, ale jedności duchowej, której nigdy nie utracili. Wydaje mi się, że w całym świecie Finowie, Polacy, Węgrzy i Serbowie najbardziej zasługują na niepodległość. Żaden bowiem z tych narodów nie robił kompromisów dla względów praktycznych. Wszystkie były gotowe do poświęceń w skali biblijnej”.

Pani Forbes zarzuca Polsce krótkowzroczne postępowanie z mniejszościami narodowymi: „Nie ma wątpliwości, że dla górników niemieckich w Pszczynie, dla wiosek niemieckich na Śląsku nastały niedobre czasy”. Poza tym Polska — zdaniem autorki — wraz z Węgrami i monarchiczną Hiszpanią należała do ostatnich krajów feudalnych Europy. W wielkich majątkach było w stajniach po sto koni, a Potocy, Radziwiłłowie i Sapiehowie prowadzili taki tryb życia, jakby nie się nie zmieniło od czasów Edwarda VII. Do sieni pałacu Potockich mógł wjechać powóz zaprzężony w czwórkę koni, a w czasie obiadu za krzesłami każdego gościa — bez względu na ilość osób zaproszonych — stał lokaj w białych rękawiczkach. Kiedy syn jednego z magnatów, człowiek skromny, przekonywał ojca, że czterdzieści wierzchowców może zaspokoić wszystkie potrzeby, usłyszał odpowiedź: „Absurd. Lubie dużo wózków”. „Zbyt wielka była rozpiętość — pisał pani Forbes — pomiędzy feudalnymi dobrami, a wiejskimi chałupami i ciasnymi uliczkami ghett’a”.

Scrutator

²⁾ Stephen Bonsal. Unfinished Business. Introduction by Wilson Harris, Londyn, Michael Joseph, 1944; str. 283 i 1nl.

³⁾ Gypsy in the Sun by Rosita Forbes. With 55 half-tone illustrations and 7 maps in the text. Londyn, Cassell, 1944; str. 381 i 3nl. i tabl. 8.

POEZJA KARPACKA

Zbiór wierszy żołnierzy Brygady Strzelców Karpaccich

Wiersze:

B. Andrzejewskiego, J. Bielatowicza, M. Hemara, A. Jamama, B. Kobrzyńskiego, J. Laszkowskiego, S. Młodożeńca, J. Nałęcz, K. Nałęcz, T. Sowickiego. — Pieśń Brygady.

Cena: 200 milsów

Wydawnictwo „W DRODZE”, Jerozolima

¹⁾ Gilbert Keith Chesterton by Maisie Ward. With thirteen illustrations. Londyn, Sheed & Ward, 1944; str. VI i 2nl. i 574 i 2nl. i tabl. 8

FAKTY I KOMENTARZE

Powrót Pétaina

W dziwny zaiste sposób marszałek Pétain utrwalili swą osobę w historii Francji, w której znalazł się na jednym z czołowych miejsc po poprzedniej wojnie. Wszedł do powszechnej historii wojen i do dziejów swojej ojczyzny jako dowódca armii, broniącej w r. 1916 twierdzy Verdun. Była to jedna z decydujących bitew poprzedniej wojny. Verdun, jako jeden z wierzchołków trójkąta twierdz: Toul, Nancy, Verdun, leżało na drodze armii niemieckich w głąb Francji. Przelamanie tej linii oporu miało dla sztabu niemieckiego tak kapitalne znaczenie, że nie wahano się rzucić na szalę autorytetu samego następcy tronu Rzeszy.

Stawka była duża. Nie ulegało wątpliwości, że dla poparcia kronprince dowództwo niemieckie posłało do walki najlepsze dywizje i użycie wszelkich środków technicznych, by osiągnąć zwycięstwo. Naprzeciw, po stronie francuskiej, stał jeden z dowódców armii, nieznany jeszcze nikomu poza kołami wojskowymi, generał Filip Pétain.

Fala ataków rozbijała się o zacietą obronę francuskiej załogi. Każdy ze wschodnich fortów twierdzy był redutą śmierci. Dowództwo niemieckie pchało wciąż nowe siły, dowództwo francuskie ścigało rezerwy na całej długości swego frontu, by sprostać tym atakom. Pétain często osobiście odprowadzał idące w bój pulki, żegnając je prostymi słowami: „On les aura, les boches”. (Dostaniemy ich).

I rzeczywiście Pétain dostał „boszów”. Niemcy nie przeszli poza forty Douaumont i Veaux, dwa masowe groby żołnierzy niemieckich i francuskich obrońców. Gdy Foch powołany został po konferencji sojuszniczej w Doullens na głównodowodzącego wszystkich sił sojuszniczych na froncie niemieckim, na dowódcę całej armii francuskiej upatrzone zwycięzcę spod Verdun, generała Filipa Pétaina.

Armia francuska nosiła w Trzeciej Republice nazwę dziwną i wiele mówiącą, choć sama nie nie mówiła. Nazywano ją „la grande muette” (wielka niemowa). Po klęsce sędzińskiej armia francuska przygotowywała się do odwetu. Odnawiała i odmładzała sztab, zwiększała liczbę batalionów w pułkach dla podniesienia stanu rezerw, wprowadzała ulepszenia techniczne, a czyniła to wszystko dla zrównoważenia potencjału, którego różnica między Francją a Niemcami była olbrzymia. Wojsko nie mieszało się do polityki, politycy nie mieszało się do spraw armii.

Po poprzedniej wojnie nazwa ta utrzymała się. Armie otaczał nim, a jej wybitnych dowódców częściej powszechna. Z czwórki marszałków (Joffre, Foch, Franchet d'Espèray, Pétain) dożył do drugiej wojny światowej tylko Pétain. Wyciągano go czasem z emerytalnego lamusa i powierzano misję państwową w chwili potrzeby, gdy trzeba było ośmielić jakiś fałszywy krok polityczny autorytetem wielkiego żołnierza.

Podczas hiszpańskiej wojny domowej kierowana przez rząd Frontu Ludowego Francja zaangażowała się po stronie hiszpańskiej lewicy republikańskiej, nie na tyle jednak, by uchronić ją od klęski. Francja znalazła się otoczona zewsząd państwami faszystowskimi, patrząc z niepokojem w przyszłość. Na czele Hiszpanii stał dyktator — gen. Franco. Rząd francuski wysłał marszałka Pétaina w charakterze nowego ambasadora Francji przy rządzie hiszpańskim.

Nie ulega wątpliwości, że sędziwy marszałek znalazł się pod wpływem nowej idei, z którą zetknął się po raz pierwszy. Ze uległ urokowi zewnętrznego blichtru faszyzmu, lubującego się w dekoracjach, paradach, w uszeregowaniu i w umundurowaniu. Musiał również amb. Pétain'a zastanawiać fakt, że faszystowski generał Franco odniósł przy pomocy faszystowskich Włoch i Niemiec zwycięstwo nad republikańskim rządem, popieranym przez republikańsko-lewicowy rząd francuski i przez Rosję. Członek „wielkiej niemowy” nie zastanawiał się głębiej nad przyczynami, nie przemyslał wszystkich czynników. Dostrzegł to tylko, co rzuciło się w oczy. Siedząc w San Sebastian, na pograniczu francusko-hiszpańskim, widział zewnętrzny porządek i ład wracający do faszystowskiej Hiszpanii po strasliwej wojnie domowej i widział zamieszanie polityczne i walkę partii we własnym kraju.

Patrząc ze swej dalekiej placówki dyplomatycznej na piorunującą zwycięstwa Niemiec w Polsce i w Norwegii, na powalenie w ciągu 4 dni Holandii, na przełamanie frontu w Belgii, na odwrót z Dunkierki Anglików — utrwalił się w przekonaniu, że Europa, a może ludzkość, weszła w nową erę, w erę zwycięskiego faszyzmu. I gdy premier Reynaud w tragicznych dniach czerwca 1940 r. zawahał się nagle do Bordeaux, oddając staremuto żołnierzowi swe zastępstwo, Pétain stał się właśnie tym czynnikiem, który skupił wokół siebie partię pokojową, tych wszystkich kretów politycznych, którzy podgrzali jedność rządu i jedność narodu. Postanowił wyciągnąć Francję z wojny za cenę jak najmniejszych ofiar, za cenę hańbiącej kapitulacji, za cenę złamania podpisanego układu, że żadne z wujających państw nie zawrze odrębnego zawieszenia broni.

Pétain posiadał w społeczeństwie olbrzymi autorytet, którego użył na szkodę Francji. Poleciwszy zrehabilitować na prędko tymczasową konstytucję nowej Francji, kazał ją uchwalić Zgromadzeniu Narodowemu w Bordeaux.

Konstytucja znosiła nazwę Trzeciej Republiki, a tworzyła Państwo Francuskie, na którego czele stał nie prezydent, lecz szef państwa. Wprowadzała czynnik przywództwa (Fuehrerostwa). Szef Państwa nie był osobą wybieralną metodami demokratycznymi, lecz mianowaną przez poprzednika. Ordęsza Szefa Państwa rozpoczynały się majestatycznie-komediacką formułą: „My, Filip Pétain itd.”

Autorytet żołnierza wojny światowej skupił wokół Pétaina przede wszystkim wyższych oficerów i lojalistów wszelkiego autoramentu. Gen. Huntziger podpisał na rozkaz Pétaina zawieszenie broni i był szefem delegacji francuskiej w komisji rozbrojenia w Wiesbaden. Admirał Darlan był szefem rządu i wyznaczony został następcą Szefa Państwa. Gen. Dentz, komisarz francuski w Syrii, wpuszczał lotnictwo niemieckie do Syrii dla poparcia rewolty Raszida Ali przeciw Anglii w Iraku i bronił Syrii i Libanu przeciw wojskom sojuszniczym. Admirał Esteva organizował opór francuski w Tunisie, współpracując z Niemcami. Gen. Nogues w Marokku, gubernator Bouisson w Da-

karze, wydawali w ręce Niemców materiał wojenny. Laval organizował tzw. wymianę narodową, wysyłając do Niemiec młodych robotników w zamian za starszych rezerwistów zwalnianych z niewoli. Hr. de Brinon, prezes Towarzystwa francusko-niemieckiego, starał się stworzyć przychylną dla Niemiec atmosferę we Francji.

Stary marszałek patrzył na to wszystko i nie przeszkadzał. Na jedno tylko nie chciał się zgodzić i do jednego nie dał się namówić: do wypowiedzenia wojny Anglii po stronie Niemiec. Z okna swej siedziby w Vichy tragiczny starzec patrzył co dnia na miniaturowe parady wojskowe swej przybytecznej straży, na wciąganie co ranka pohańbionego sztandaru Francji na maszt i słuchał porwujących dźwięków „Marsylianki”, której bojowa treść nie przemawiała do starczego serca.

Niemcy, trzymając w okupacji 3/5 Francji, z początku pozostawili Pétainowi złudzenie władzy na pozostałych 2/5. Był dla nich tylko figurantem, przy którego pomocy wyeliminowali z wojny imperium francuskie, zdolne do walki nawet po klęsce metropolii. Słuchali cierpliwie jego bezsilnych protestów w ważniejszych sprawach i robili swoje. Zabrali go z sobą, uciekając z Francji, w której rządy objęli bojownicy wolności, pozbawieni przez rząd Pétaina obywatelstwa francuskiego.

Obecnie wrócił do ojczyzny, którą obronił podczas jednej wojny, a wydał w ręce wroga podczas drugiej bez świadomości popełnienia najcięższego grzechu, największej zbrodni. Sprawiedliwa ojczyzna zamknęła go w więzieniu, wierna zasadzie, że za czynny dobre należy się nagroda, lecz za czynny zbrodniczy czeka każdego obywatela kara, bez względu na wysokość zajmowanego przezeń stanowiska.

Fuehrer Nr. 2

W jaki sposób admirał Karl Doenitz stał się następcą Hitlera, otoczony jest jeszcze tajemnicą. Należy jednak przypuszczać, że przed faktyczną, czy pozorną śmiercią Hitlera musiała się odbyć w walącym się w gruzach Berlinie, lub gdzie indziej, jakaś walna narada z udziałem przywódców narodowo-socjalistycznych i generałów. Może nawet odbyła się ostatnia walka między przedstawicielami armii i partii. Takich walk było więcej w ciągu tej wojny. Dotąd zwyciężał Hitler, lub Himmler. Jeszcze w lipcu ub. roku usiłowanie usunięcia Hitlera skończyło się masakrą wśród generałów i marszałków Rzeszy. Tym razem jednak przyszła kolej na Hitlera i jego pomocników. Generalowie wytłumaczyli zapewne, że w obliczu nieuchronnej klęski należy wrócić do starej i wypróbowanej koncepcji prusko-ukieńskiej ratowania szkieletu armii za cenę wyrzeczonych politycznych. Podobnie jak po poprzedniej wojnie, niemieckie koła wojskowe zdolały zachować pod osłoną republikańskich rządów zarówno wielki sztab, jak i trzon armii, a w Reichswehrze zyskiwały dobrą szkołę kadr, tak i tym razem generalowie zdolali przekonać Hitlera o konieczności powrotu do tej koncepcji, z myślą o nowej odwetowej wojnie. I wówczas wybór padł na admirała Doenitz. Jemu przeznaczono przyznanie się do klęski Niemiec.

Dlaczego właśnie Doenitz? Dlaczego nie któryś z generałów? Jasne. On jedyny posiadał jeszcze taki autorytet. Armia lądowa poniosła strasliwą klęskę, zatem generalowie są zdyskredytowani. Lotnictwo Goeringa zostało wymiecione z powietrza i również od ofensywy w pierwszej fazie wojny przeszło do defensywy, aż uległo doszczętnemu zniszczeniu. Admirał Doenitz natomiast był specjalistą w wojnie podwodnej. Okręty podwodne niemieckie były jedyną bronią niemiec-

ką, która nie doznała klęski, która raz wraz po-dejmowała na morzach i oceanach groźną ofensywę wówczas, gdy armie lądowa i powietrzna wyszczerbiały się i zbliżały do niechybnego upadku. Wreszcie Doenitz nie jest junkrem. Pochodzi z rodziny mieszczańskiej, z rodziny szczerów lądowych, nie posiada żadnej posiadłości wiejskiej, a cieszy się w narodzie niemieckim dużą popularnością, nie mniejszą, aniżeli cieszył się za swego życia marszałek Rommel.

Trudno przypuścić istnienie innych przyczyn wybrania na następcę Hitlera admirała Doenitz. Niedługo, w radosnych dniach rozpoczęcia przez Niemcy nowej wojny, następcą naznaczony był osobiście przez Hitlera Goering. Po 5 i pół latach wojny wszakże okoliczności uległy takiej zmianie, że Goering, zawodowy oficer z poprzedniej wojny i cieszący się w narodzie niemieckim dużą popularnością, nie mógł już zająć tego stanowiska. Był skompromitowany towarzyszeniem Hitlera i był dowódcą Luftwaffe, która poniosła smrotną klęskę. Gdy zaś odważył się sprzeciwić, Hitler skazał go na śmierć i tylko przyjaćiom z Luftwaffe udało się wykraść Goeringa z rąk SS-ów. Himmler jest tak znienawidzony przez własny naród, że jego kandydatura nie weszła w ogóle w rachubę. Doenitz nie jest narodowym socjalistą, zaś jako wojskowy posiada już pewną praktykę w kamuflażu z okresu po poprzedniej wojnie.

Admirał Doenitz stał się specjalistą wojny podwodnej jeszcze podczas poprzedniej wojny. Po klęsce był w dalszym ciągu propagatorem rozbudowy niemieckiej floty podwodnej, broni zakazanej przez Traktat Wersalski. Siedział przeto w sztabie i patrzył, jak w kołach marynarki niemieckiej toczyła się walka między zwolennikami metod defensywnych a zwolennikami metod ofensywnych. Sztab niemiecki usiłował obejść postanowienia Traktatu Wersalskiego, który nie zezwalał Niemcom na budowę okrętów większych ponad 10,000 ton. Inżynierowie floty pracowali przeto gorączkowo nad stworzeniem planów nowych jednostek, których pojemność nie przekraczałaby dozwolonego tonażu, a które mogłyby siłą opancerzenia i ognia sprostać pancernikom. Z tych prac powstały pancerniki kieszonkowe, których prototypem był „Deutschland”, ulubiony pancernik Hitlera.

Admirał Doenitz, doskonały technik, pracował w tym samym czasie nad planami ulepszenia okrętów podwodnych i metod ich walki. W swych badaniach i próbach doszedł do przekonania, że można używać okrętów podwodnych jako broni ofensywnej, ale również jako pływających baz zaopatrzenia dla okrętów walczących.

Gdy Hitler strząsnął z Rzeszy wieży Traktatu Wersalskiego, Doenitz przystąpił do budowy potężnej floty podwodnej, walczącej uporczywie ze zwolennikami wojny nadwodnej. Klęska zatopionego przez Anglików nowego, potężnego pancernika „Bismarck” w 1940 r. utrwaliła reputację Doenitz i wysunęła go później na naczelne stanowisko we flocie niemieckiej. Po raz pierwszy w historii flot wielkim admirałem i dowódcą całej floty został specjalista nie wojny nadwodnej, ale podwodnej. Reputację tę admirał Doenitz zachował nie umniejszoną do końca i jej zawiązanie wybór na krótkotrwały urząd Fuehrera Nr. 2, który przeprowadził kapitulację Niemiec.

Trusteeship

Prasa sojusznicza nie ukrywa, że jednym z najważniejszych problemów, wymagających rozwiązania przez obóz Narodów Zjednoczonych jest sprawa zarządu terytoriami nieprzyjacielskimi, zajętymi przez Sojuszników. Wiąże się to bezpośrednio

nie ze sprawą tzw. mandatów, czyli terytoriów nieprzyjacielskich, które po poprzedniej wojnie oddane zostały w zarząd różnym państwom przez Ligę Narodów. Ponieważ Liga Narodów zastąpiła ma być obecnie przez nową organizację, jasne jest, że i sprawa mandatów będzie musiała być uregulowana.

Zagadnienie znalazło się na stole obrad konferencji w San Francisco i od razu okazało się, że trzeba będzie nie małego wysiłku, by uzgodnić punkt widzenia pięciu mocarstw (Anglii, Stanów Zjednoczonych, Związku Sowieckiego, Chin i Francji).

Liga Narodów oddała mandat nad dawnymi posiadłościami niemieckimi na Pacyfiku Japonii i Australii. Japońskie wyspy mandatowe, Karoliny, Mariany i wyspy Marshalla, zostały podczas tej wojny odebrane Japończykom przez Amerykanów. Stwierdzono przy tej sposobności, że wbrew postanowieniom mandatowym, Japończycy zbudowali na tych wyspach fortyfikacje i założyli na nich silne bazy wojskowe.

Gdy wysunięto sprawę zarządu tymi terytoriami — przy czym nikt na razie nie kwestionuje praw mandatowych Australii do dawnych posiadłości niemieckich — w Stanach Zjednoczonych powstał spór prasowy na temat, czy Stany Zjednoczone mają anektować po prostu te wyspy, jako ważne strategiczne punkty na oceanie Spokojnym, posiadające — jak to wykazała obecna wojna — zasadnicze znaczenie dla bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych, czy też mają one tylko przysiąc od nowej organizacji światowej zarząd powierniczy. Jeśli idzie o aneksję, to nawet znany publicysta amerykański, Walter Lippman, ma skrupuły, czy krok taki byłby zgodny z postanowieniami Karty Atlantycznej (szkoda, że Karta Atlantyczna nie budzi takich skrupułów, gdy chodzi o Polskę) i podkreśla, że życiowe interesy Stanów Zjednoczonych pozostają w konflikcie z Kartą Atlantyczną i postanowieniami konferencji w Jaltie odnośnie zarządu. Jest to zatem sprawa bardzo delikatna, tym więcej, że należy unikać precedensów, które mogłyby być wyzyskane przez niektóre państwa w Europie.

Drugi szczegółowy problem w ramach zagadnienia „trusteeship” stanowią dawne kolonie niemieckie w Afryce, nad którymi mandat uzyskała Unia Południowo-Afrykańska. Delegacja „Unii” domaga się obecnie włączenia kolonii w skład Unii.

Również Palestyna stanowi terytorium mandatowe i Anglia poczyniła już w San Francisco wszelkie kroki dla uzyskania potwierdzenia zarządu Palestyną. Amerykanie natomiast wysuwają w tej sprawie plan wspólnego zarządu, podobnie zresztą, jak wszystkich ważnych strategicznie terytoriów, które, zdaniem delegacji amerykańskiej, winny pozostawać w tzw. dualistycznym, lub mieszanym zarządzie.

Drugą różnicę stanowi kwestia sprawozdań. Delegacja amerykańska wysuwa plan składania rocznych sprawozdań z zarządu Radzie organizacji, podczas gdy delegacja brytyjska żąda tytułu sprawozdań ekonomicznych i socjalnych, składanych odpowiedniej komisji organizacji z zupełnym zaniechaniem problemów politycznych, często drażliwych. Amerykanie żądają dla terytoriów zarządzanych prawa petycji do Rady, plan brytyjski nie przewiduje tego ważnego szczegółu. Wreszcie plan amerykański przewiduje dla Rady, względnie dla komisji zarządowej, prawo wglądu w szczegóły zarządu, co plan brytyjski pomija.

Czacki — Chatzko

„La Marseillaise” w jednym z kwietniowych numerów zamieszcza następującą notatkę, którą podajemy w skróceniu:

„Nie trzeba pytać majora Chatzko, jakie nosi order. Posiada je prawie wszystkie i na pewno jest we Francji żołnierzem, którego udekorowano największą ilością odznaczeń. Niezwykła jest historia majora Chatzko, przypominającego świetne postacie epopei napoleońskiej. Chatzko, wnuk generała z czasów Napoleona III, a syn pułkownika, jest Francuzem polskiego pochodzenia (nazwisko „Chatzko” jest francuską przeróbką znanego polskiego nazwiska „Czacki”; jeden z Czackich był generałem armii francuskiej za czasów Napoleona I). Brał on udział w wojnie 1918 r., podczas której został osmiokrotnie odznaczony. Odnosił ciężkie rany i utracił prawą nogę, co jednak nie powstrzymało go od dalszej wojaczki. Walczy następnie w Polsce w okresie pobytu w Warszawie misji gen. Weyganda, między zaś dwiema wojnami światowymi dowodził pułkiem Legii Cudzoziemskiej i bije się w Afryce. Jako oficer rezerwy w r. 1929 zdobywa znowu dwa odznaczenia podczas tzw. „drôle de guerre”, póki nie dostanie się do niewoli.

Tu rozpoczyna się tragikomiczna faza jego przygód. Jako więzien w jednym z obozów niemieckich, łamie pewnego dnia krzesło na głowie strażnika, który go znieważał. Majora Chatzko postawiono przed sąd, przed którym tak zreźnie przeprowadził swoją obronę, że został uniewinniony.

Chatzko zdobył sobie popularność w obozie. Wartownik niemiecki zaprosił go kiedyś potajemnie do swego domu. Podczas wieczoru jeden z gości zaczął wyrażać się źle o Francji — wybuchła gwałtowna sprzeczka, w której Chatzko sprosował serwis i... uczestników biesiady. Ponieważ wartownik sprowadził majora do swego domu nielegalnie, zajęcie nie pociągnęło żadnych konsekwencji; proszono nawet jeńca, by nic nikomu nie mówił.

Majorowi Chatzko udało się znaleźć na liście jeńców, zwalnianych z obozów w zamian za wysyłanie do Niemiec francuskich robotników. Powraca więc do Francji, przyłącza się do maquis i zostaje dowódcą partyzantów w Bordeaux. Zbiegają się ze wszystkich stron ludzie, którzy dawniej pod nim służyli. W batalionie Chatzko walczą żołnierze Legii Cudzoziemskiej, Polacy, Czesi i nawet Brazylijczycy. Noszą oni wszyscy na ramieniu odznakę oddziału „Pentésilée”. Chatzko wybrał imię królowej Amazonki, na pamiątkę swej córki, zapalonej amazonki, którą Niemcy zamordowali w Polsce. Major Chatzko, dzielny żołnierz, ma również rozległe zainteresowania literackie; włada płynnie niemieckim, rosyjskim, polskim, angielskim i arabskim, ponadto czyta w oryginale utwory klasyków greckich.

Wśród książek

Prof. W. J. Rose: „The Rise of Polish Democracy” (Bell and Son Ltd. 1944).

Każdy naród jest obdarzony szeregiem błędnych opinii i niesprawiedliwych karykatur. Anglików widział świat jako turystów w dżekach i w ubraniu w kratkę i wierzył, że są przeważnie „Country squire”, albo bogatymi kupcami z City, a politycznie uważano ich za imperialistów, nie mówiąc o oklepianym sloganem „perfidie Albion”. Polaków widział się i — niestety widzi do dziś dnia — jako obszarników i reakcjonistów.

Takie określenia narodów są naturalnie fałszywe, nielogiczne i niesprawiedliwe. Niewątpliwie istnieć w Polsce obszarnicy i reakcjonści, a w Anglii „country squire”, kupcy z City i imperialiści. Ale tak w Polsce jak w Anglii, Niemczech, Francji itd., byli oni tylko częścią społeczeństwa, a ich istnienie nie było żadną charakterystyczną cechą narodową, lecz wynikiem sił gospodarczych, politycznych i filozoficznych, grających w danym okresie. Najniebezpieczniejszą bronią politycznych demagogów są uogólnienia, bo zawsze można w obronie uogólnienia szermować przykładami wyjątków. I bardzo trudno z taką demagogią walczyć, bo nie można udowodnić na poczekaniu i pokrótce, że Anglikami są nie tylko „country squire” czy kupcy z City, ale także górnicy z Wali, farmerzy ze Szkocji, robotnicy z Birmingham czy urzędnicy prywatni z Liverpoolu. I nie można także zaprzeczyć imperializmowi, bo Anglija są imperialistami, choć imperializm współczesnej Anglii nie ma nic wspólnego z agresywnością, uciśkaniem, gwałtem i bezprawiem, które to cechy imperializmów niemieckiego, japońskiego czy włoskiego, nadały słowu „imperializm” wyraźnie negatywne znaczenie.

Jeśli przejdziemy do Polski, to jej „landlordowie” i reakcjonści są równie krzywdzącym uogólnieniem jak wyżej wymienione cechy angielskie.

Brak jednak było źródeł, z których by Brytyjczycy zainteresowani sprawami polskimi mogli czerpać wiadomości o prawdziwej Polsce. O Polsce, która z upadku rozbrojonej XVIII-go wieku powoli, mimo ucisku i oporu zaborców, wyodrębniła się na wyżyn śmiały i szlachetny myśli politycznej, którą każde państwo — z tych nawet, które istniały w lepszych dla rozwoju kultury warunkach — mogłoby się poszczycić: o polskich par-

tiach politycznych: o pięknej, postępowej literaturze polskiej XIX-go i XX-go wieków, której demokratyczność objawiała się nie tylko w treści dzieł, ale także w tym, że coraz więcej wielkich pisarzy pochodziło z dołu drabiny społecznej, o osiągnięciach gospodarczych, społecznych, naukowych; o Gdyni; o polskim ustawodawstwie społecznym; o spółdzielczości; o wysiłku wychowawczym.

Książka prof. W. J. Rose pt. „The Rise of Polish Democracy”, która ukazała się niedawno nakładem firmy Bell and Son Ltd., wypełnia tę lukę w dokumentacji o sprawach polskich.

Jest to nie tylko książka źródłowa, pisana przez uczonego dużej miary, który mógł czerpać swe wiadomości z pierwszej ręki, gdyż spędził 15 lat w Polsce i zna doskonale kraj, ludzi i język, ale także dzieło pisane w sposób interesujący i błyskotliwy, przez naukowca, który z wiedzą swą łączy talent literacki.

Należy ponadto stwierdzić, że jest to książka bezstronna. Życzliwość autora wobec Polski nie przeszkodziła mu w surowej krytyce polskich błędów.

Polacy, jak Anglija, i jak każdy inny naród, to suma zalet i wad. Bezkrzytyczne chwalenie jest równie głupie, jak bezkrzytyczne mieszanie z błotem. Wielu Polaków — zwłaszcza tych winnych — oburzy się na surowy sąd autora o niektórych sprawach, zbyt bliskich jeszcze w czasie, aby Polacy mogli o nich beznamyślnie myśleć, ale bardzo wielu Polaków może np. uważać, że prof. Rose zbyt łagodnie obszedł się z reżimem przedwojennym. Pewne zastrzeżenie może również wywołać zbyt fragmentaryczne potraktowanie mniejszości narodowych. Kraj posiadający 30% mniejszości musi mieć politykę mniejszościową różniczkowaną w opinii partyjnej. Warto było sprawom mniejszościowym poświęcić więcej miejsca, tym bardziej, że istnieją o nich tak błędne sądy, że autor, który te sprawy bardzo dobrze zna, wyświadczyłby dużą przysługę zarówno Polakom jak i mniejszościom poprzez ich bezstronne i rzeczowe naświetlenie.

Ale to są usterki, które nie ważą w ogólnym rachunku pożyteczności tej książki. Książka była bardzo potrzebna jako „reference book” dla zainteresowanych Polską. Ten cel wypełniła.

H. S. Dominik

WIKTOR WEINTRAUB

LIST Z LONDYNU

First things first. Zaczniemy od polityki. Autor tych słów przybył do Londynu w pierwszych dniach kwietnia, tzn. w momencie kiedy każdy dzień przynosił nowe wiadomości o wielkich postępach alianckich na froncie niemieckim. Jasne stało się dla każdego, że wojna już się kończy.

Zdawało by się, że takie wiadomości powinny wprawić ulicę londyńską w szal radości. Przecież Londyn — uporczywie przypominają o tym liczne ruiny poburzonej i popalonej domów — znajdował się właściwie przez bezmała pięć lat w pierwszej linii frontu. A i bez tego żelazne łapy mechanizmu wojny totalnej na pewno ludziom dobrze dały się we znaki. Angielski system rozdziału artykułów pierwszej potrzeby imponuje co prawda wysokim stopniem sprawności — ale mimo to wszystkie ograniczenia, tak długo znoszone, muszą być docucieliwe. Zresztą nie są one przecież jeszcze najgorszą przywacją, jaką wojna przyniosła.

Zdawało by się, zatem, że jest aż nadto powodów po temu, aby komunikaty z frontów wprawiły ludzi w stan entuzjazmu. A jednak entuzjazmu tego nie widać. Nie ma go ani w komentarzach gazet, ani w reakcjach ulicy londyńskiej.

Tłumaczenie tego spokoju angielskim charakterem narodowym wyjaśnia w gruncie rzeczy mało. I można mieć poważne wątpliwości, czy jest trafne. Ostatecznie po dziś dzień żywa jest tradycja tego, jak Londyn szalał 11 listopada 1918 r.

Wiecej już trafności jest w tych wyjaśnieniach, które podkreślają, że w wiadomościach o zwycięstwach alianckich z ostatnich tygodni nie ma miejsca na wyzycie się tego, co by można — wulgaryzując sprawę — nazwać, z braku lepszych określeń, wyzyciem się pasji sportowej. Przewaga techniczna i liczbowa aliantów jest w tej chwili tak wielka, że nie ma miejsca na ryzyko, jeśli idzie o rezultaty operacji wojennych, i ostatnia ofensywa przemieniła się niemal w wielką ekspedycję karno-okupacyjną (na tym właśnie polega konsensus uporczywego niemieckiego oporu). A przecież nie bez kozery jest fakt, że dla Anglików ich wielkie bitwy w wojnie z Niemcami, to przede wszystkim Dunkierka i Aarnhem, tzn. dwie bitwy przegrane, ale takie, z których mimo to są — słusznie — dumni.

Trzeba więc przyczyn tego braku entuzjazmu szukać gdzie indziej.

Jedną z nich występuje szczególnie wyraźnie. Oto wojna trwała zbyt długo na to, aby się ludzie mogli naprawdę żywo i bezpośrednio cieszyć z jej końca. Są już zbyt zmęczeni.

Przed wszystkim jednak trzeba tu sobie zdać sprawę z jednej kardynalnej różnicy w porównaniu z rokiem 1918. Oto wtedy ludzie mogli mieć złudzenia, że wojna była tylko przelotnym wykojeniem „normalnego” biegu historii, po którym będzie można wrócić do „normalnych”, przedwojennych stosunków. Dziś już takie złudzenia mogą żywić tylko ludzie bardzo naiwni. Dziś coraz powszechniej jest zrozumienie, że powrót do dawnych, przedwojennych stosunków nie ma, że za to koniec wojny postawi kraj wobec całego szeregu trudnych, skomplikowanych i wielkich problemów zarówno natury ściśle politycznej, jak i gospodarczej.

Pierwszym z nich, i to od razu problemem na gigantyczną skalę, jest cały kompleks tych zagadnień, które związane są z przejściem kraju z gospodarki wojennej na pokojową, z reabsorbacją przez organizm gospodarczy kraju milionów zde-mobilizowanych żołnierzy oraz z trudnościami odbudowy zniszczeń wojennych.

Kłopoty w polityce zagranicznej podkreślają jeszcze świadomość trudności. O tarciach między członkami Wielkiej Trójki prasa angielska — bardzo zdyscyplinowana — pisała dotychczas mało i niechętnie, tym niemniej każdy zdaje sobie sprawę z tego, że tarcia te istnieją i że teraz właśnie, kiedy aktualna staje się sprawa powojennego urządzenia świata i załatwienia szeregu spraw spornych — tarcia te muszą się zaostriżyć.

O tym, że w stosunkach angielsko-rosyjskich takich kwestii spornych jest dużo, każdy z nas wie dobrze. Za to w społeczeństwie polskim przeoczone bywają na ogół możliwości tarć angielsko-amerykańskich. Czytelnicy „W Drodze” byli już informowani o ostrym artykule, jakim Geoffrey Crowther, redaktor „Economista” (nb. najlepszym chyba pisma politycznego w świecie anglosaskim) zareagował na — wcale częste ataki prasy amerykańskiej. O tym, jak rozległa może być ta płaszczyzna tarć, wymownie poucza poświęcony „amerykańskim planom dla świata kolonialnego” artykuł wstępną lutowego numeru „The American Mercury”, pisarza, ukrywającego się pod pseudonimem „Genewa”, artykuł pełen świętego oburzenia na wszelkie „racial discriminations” — poza granicami USA.

Dlatego to właśnie w Anglii tak silnie odczuł zgon prez. Roosevelta. Poza pewną fascynacją, jaką na masy wywierała wielka indywidualność zmarłego Prezydenta (a wydaje się, że bez przesady można już dzisiaj powiedzieć, iż Roosevelt był indywidualnością na miarę Lincolna czy Washingtona), nie mała rolę musiała tu odgrywać także i ta świadomość, że Roosevelt był człowiekiem polityki długofalowej, który potrafił kierować swą działalnością narzucać mało zdyscyplinowanej i łatwo wpadającej w histerię amerykańskiej opinii publicznej, że zatem był to człowiek, którego pozostanie przy sterze rządów w Stanach gwarantowało pewną stałość tej polityki. O polityce prez. Trumana trudno w tej chwili coś konkretnego powiedzieć, ale właśnie dlatego można bez wielkiego ryzyka błędów przewidzieć, że jest to człowiek, który będzie raczej kierowany przez opinię publiczną swego kraju, nie zaś człowiek, który by sam nią mógł pokierować, że zatem pod jego rządami nie są wyłączone różne niespodzianki.

Podkreśla jeszcze uczucie niepokoju przekonanie, że sytuacja w uczulanych krajach europejskich jest bardzo daleka od zadowalającej, że alianci na ogół nie umieli sytuacji tej pod wzglę-

dem gospodarczym (a co za tym idzie, także i politycznym) opanować, że w szczególności przykrym niespodziankami zdaje się ona grozić w żywo Anglików obchodzącej Grecji, gdzie „bardzo krótka próba rządów komunistycznych wystarczyła na to, aby wahać polityczne przesunęło się w kierunku odwrotnej ostateczności” i gdzie wskutek tego istnieje teraz poważne niebezpieczeństwo skrajnie prawicowego puczu — jak pisze w nrze z dn. 17 kwietnia br. „The Times”, bardzo nielaskaw dla rządów komunistycznych — w Grecji.

I nikt się też nie ludzi, że gdy przyjdzie Dzień Zwycięstwa (V—Day), znikną wszystkie kłopotliwe ograniczenia czasu wojennego. A nawet jeśli i kto chciał się ludzi, to miarodajne instancje postarają się już o to, aby mu te złudzenia wybić z głowy. Niedawno np. Hugh Dalton, prezes Izby Handlowej, zapowiedział, że tylko dzieci dostaną na pierwsze sierpnia nowe kupony ubraniowe. Dorosli będą musieli przeczekać ze swymi kuponami (przyznawanymi w dodatku w skąpej ilości) do września. O zniesieniu zaś w ogóle systemu kuponów nikomu ani się i nie marzy.

Tak więc ludzie doskonale zdają sobie sprawę z tego, że wchodzą w okres trudny, który będzie wymagał jeszcze dużego wysiłku i ofiar. Mają na pewno dużo mniej złudzeń niż w r. 1918.

W przeddzień zwycięstwa został zerwany rozejm partyjny między konserwatystami a labourystami. Zerwanie to jest przykrym wydarzeniem przede wszystkim dla konserwatystów, którzy bardzo zależą na tym, aby istniejąca koalicja, która w czasie wojny pracowała sprawnie i gładko, utrzymać i na okres powojenny. Ale labourystom, dobrze wiedzącym, że w czasie wojny opinia publiczna przesunęła się wyraźnie na lewo, zależy na takiej próbie sił. Toteż pierwszy atak wyszedł ze strony przywódcy labourystów Bevin, który w Leeds ostro zaatakował konserwatystów. Odpowiedział mu w Holborn, w imieniu konserwatystów, jeden z hislickich współpracowników Churchilla, minister propagandy Brenden Bracken. Gwałtowność jego repliki świadczy o tym, jak bardzo to zerwanie rozejmu jest konserwatystom nie na rękę. Gabinet koalicyjny co prawda jeszcze w tej chwili się trzyma, ale jest już rzeczą dla każdego oczywistą, że obie partie pójdą do wyborów oddzielnie. W popularnym skrócie sytuację obecną ujął znany karykaturzysta Low. Karykatura jego, która wywołała nawet interpelację w Izbie Gmin, przedstawia posiedzenie Rady Ministrów po ogólnej biłatyce: twarze ministrów są ponabijane guzami, krawaty poprzekrzywane, ten i ów ma podartą koszulę czy marynarkę. Sam premier Churchill ma wydartą rekawę od marynarki i — złamane cygaro. Zwraca się on do członków swego gabinetu z tymi mniej więcej słowami: „Panowie bez względu na to, co się tu dzieje, na zewnątrz jesteśmy jedną, kochającą się rodziną.”

Tym niemniej wcale rozpowszechniony jest pogląd, że po wyborach rząd koalicyjny powstanie na nowo, z tym tylko, że proporcje sił poszczególnych partii w tym nowym powojennym coetailu będą już inne, że będzie on prawdopodobnie bardziej różowy, tzn. z większymi wpływami socjalistów. Rozwiązania koalicyjnego domaga się po prostu elementarny rozsądek. Te bowiem zadania, jakie staną przed nowym rządem, są tak wielkie i tak trudne, że nie łatwo sobie wyobrazić jakby rząd jednej partii mógł dać sobie z nimi radę. Wykonanie programu gospodarczego konserwatystów zawsze będą mogły sparaliżować strajki robotnicze, podobnie znowu jak labourysty ci zawsze będą narażeni na to, że ich program powojennej odbudowy kraju, o ile mieliby go przeprowadzić sami, zostanie sparaliżowany przez opozycję City. Oczywiście, koalicja taka możliwa będzie tylko wtedy, o ile roznamiętnienie kampanii przedwyborczej nie stworzy atmosfery, która by jej ewentualność musiała wykluczać. I już dzisiaj wiad, że ludzi problem ten żywo zajmuje. Tak np. należy rozumieć uwagi „Time and Tide”, który w komentarzu redakcyjnym pedagogicznie tłumaczy czytelnikom, że „na szczęście wysłaliśmy już z tego stadium, w którym ludzie rozbijali sobie głowy przy kioskach wyborczych”.

Przez Anglię przechodzi obecnie wielka fala oburzenia na Niemcy. Nie ma prawie dnia, żeby gazety nie przyniosły fotografii i opisów naczynych świadków, korespondentów wojennych, z obozów koncentracyjnych i z życia jeńców wojennych w Niemczech. Często dzienniki dają opisom tym pierwszeństwo nawet przed komunikatami z frontu. Szeroko obiegła prasa fotografia grupy jeńców brytyjskich z jednego z obozów. Jeńcy są boso, w krótkich spodenkach i w koszulach bez rękawów, tak że widać wyraźnie, jak potwornie są wychudzeni. Ich ręce i nogi przypominają raczej piskle, niż kończyny normalnego człowieka, — zupełnie tak samo jak u dzieci polskich, wywakuowanych do Iranu w r. 1941.

Całą prasę i BBC obiegły też opisy potwornych warunków, w jakich znaleziono jeńców z obozu w Buchenwaldzie (nb. sprawozdawca BBC podaje też, iż w obozie tym mordowano ostatnio masowo Polaków, wspomina też o profesorze Polaku, z jakim się tam spotkał, nie przytaczając zresztą jego nazwiska) oraz w innych obozach.

Rzecz prosta, i dotychczas Anglicy słyszeli sporo o okropnościach niemieckich obozów koncentracyjnych. Ale słyszeli to od różnych organów alianckich, które zawsze można było podejrzewać o „propagandę” (straszliwe w czasie wojny zde-waluowana), nie było możliwości sprawdzenia tych wiadomości na miejscu, a same wiadomości były tak potworne, że nielato było w nie wierzyć. Teraz niewierny Tomasz sam dotknął się rany. I wzdrgnął się z przerażenia.

Można wydziwiać, że Anglicy tak późno dali się ostatecznie przekonać o potwornościach niemieckiego bestialstwa. Ale oburzenie to właśnie dlatego, że wybuchnęło świeżym płomieniem teraz, kiedy mają się decydować losy pokonanych Niemiec, powinno mieć dla tych Niemiec szczególnie groźne następstwa. W kraju, w którym istnieją schroniska dla bezdomnych kotów i w którym ostatecznym sprawdzianem kultury jest stosunek człowieka do człowieka, oburzenie na Niemców jest nie tylko szczerze i głębokie, ale i będzie mieć na pewno swoje następstwa polityczne.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Winston Churchill doczekał swego dnia. Kapitulacja Niemiec postawiła go w plejadzie zwycięskich przywódców Imperium Brytyjskiego, raz jeszcze potwierdzając wiare, że demokracja angielska potrafi w decydujących chwilach wydać człowieka odpowiadającego wielkości zadania. Kończąc swe przemówienie w Izbie Gmin, oznajmiał o pokonaniu Niemiec, Churchill wezwał parlament, aby udał się do Opatwa Westminsterkiego dla złożenia „pokornego i pełnego czci dziękczynienia wszechpotężnemu Bogu za uwolnienie od groźby niemieckiego panowania”. Było to dokładne powtórzenie słów, jakimi Lloyd George, prowadzący Anglików do zwycięstwa w poprzedniej wojnie, zapowiedział dziękczynne nabożeństwo w kościele św. Małgorzaty.

W ciągu bieżącego półwiecza dwukrotnie Anglia stała do walki z państwem usiłującym zdobyć hegemonię na kontynencie europejskim. Dwukrotnie przychodzili Anglii z pomocą Stany Zjednoczone, bowiem władanie Europą jest zawsze pokusą do zawiadnięcia światem. I dziś, gdy na ulicach powiewają sztandary zwycięstwa, świat zadaje sobie pytanie, jakie błędy zamieniły wygraną po myli lat 1914—1918 w przegrany pokój i jakiej pomocy trzeba uniknąć teraz, aby następne, czy jeszcze obecne pokolenie, nie stało w obliczu trzeciego światowego kataklizmu.

Upadek Traktatu Wersalskiego przypisuje się powszechnie niedostatecznemu rozbrojeniu Niemiec, stosunkowej łagodności warunków pokojowych i polityce angielskiej, przeciwstawiającej się rosnącej pozycji Francji. Świat wersalski był przede wszystkim światem karłowatym: nie należała do niego Ameryka i poza granicami jego cywilizacji żyła Rosja Sowiecka. Bez wyjaśnienia stanowiska rosyjskiego nie można było ułożyć pokojowej współpracy europejskiej, bez udziału Stanów Zjednoczonych nie można było nakreślić współdziałania w skali światowej. Rok 1920 i bitwa warszawska stały się symbolem niebezpieczeństwa, jakie groziło od Wschodu i wpłynęły na politykę państw zachodnich wobec Niemiec. Nie do tego jednak stopnia, by wobec rosnącego potencjału ekonomicznego Rosji doprowadzić do ujednolicenia standardu życiowego Europy, otworzyć równy dostęp do surowców i przeprowadzić reformy socjalne.

Po Wersalu politycy nie uświadomili sobie jednoci Europy, tak jak często dziś opinia jeszcze sobie nie uświadamia jednoci świata. Kiedy przewrót nazistowski wyniósł Hitlera do władzy, chwycono się wygodnej fikcji, iż granice rozdzielają suwerenne państwa tak dokładnie, że totalizm i okrucieństwo panujące w jednym nie przedostaną się do drugiego. Wersal, który miał stworzyć system oparty na pewnych ogólnoludzkich zasadach sprawiedliwości, stracił znaczenie bardzo szybko, gdy tylko pozwolono na upadek demokracji w krajach europejskich. Prześladowanie chrześcijaństwa w jednym państwie, masakry Żydów w drugim, nie stały się powodem zbrojnej interwencji. Z chwilą gdy Europa milczała pozwolila na rozrost okrucieństwa totalizmu, nowa wojna światowa stała się pewna. Fikcją bowiem jest zasada nieinteresowania się sprawami wewnętrznymi innego państwa. Demokracja w stosunkach międzynarodowych może istnieć jedynie wtedy, gdy istnieje w stosunkach wewnętrznych.

Europa powersalska odeszła od sformulowanych przez Wilsona ideologicznych celów wojny i tym samym uczynila pierwszy krok ku nowej wojnie, krok tym bardziej złowroźny, że całość współpracy była naruszona przez nieobecność Rosji. Gra polityki niemieckiej było wykorzystywanie owego rozdziału i ambicja zjednoczenia Europy przeciw Rosji, aby w ten sposób uzyskać europejskie a następnie światowe przywództwo. Gdyby współpraca z Rosją istniała od dawna, nie doszłoby do wojny. Wobec zaś Rosji, oddzielającej się od kontynentu, powstała nieufność i ten czynnik niepokojący przed niewiadomym starali się wyzyskać Niemcy.

Bezskutecznie. Gdy nie przyjęła oferty niemieckiej Polska, nie przyjęła propozycji Hessa Anglia, nie odstąpiła od zasady kapitulacji wobec wszystkich Sprzymierzonych dowództwo alianckie. Zaniechanie walki na zachodzie i dalszy opór na wschodzie, proklamacja Doenitza, ucieczka niemieckich oddziałów na zachód — są jedną więcej niemiecką próbą osiągnięcia starego celu.

Dziś Niemcy leżą pokonane i kończy się niemiecka gra. Rosja weszła z powrotem do koncertu mocarstw europejskich, a jej przedstawiciele zasiadli przy stole obrad Zjednoczonych Narodów. Nowa organizacja międzynarodowa ma zapewnić poszanowanie prawa, uczciwość, wzajemną współpracę i oparty na niej pokój. Pokonanie Niemiec było negatywnym celem wojny, celem pozytywnym miało być wprowadzenie demokracji do wszelkich form życia publicznego. W przemówieniu radiowym po zakończeniu wojny, Churchill podkreślił, że Anglię czeka zadanie urzeczywistnienia na kontynencie istotnych celów wojny. „Musimy jeszcze — powiedział prem. Churchill — uzyskać pewność, że owe szlachetne cele, dla których rozpoczęliśmy tę walkę, nie zostaną zlekceważone lub też zaniedbane w okresie, jaki nastąpi po naszym zwycięstwie i że nie zostanie sfalszowane prawdziwe znaczenie, tak jak my je pojmujemy, określenia wolności, demokracji i wyzwolenia. Niewiele będzie pożytku z ukarania zbrodni hitlerowskich, jeżeli nie ma zapanować prawo i sprawiedliwość, jeżeli rządy totalitarne i policyjne mają zastąpić niemieckich najeźdźców”.

To niedwuznaczne oświadczenie mogłoby stać się dewizą dla konferencji w San Francisco. Lecz właśnie tam okazało się na tle interpretacji układu krymskiego, jak różne znaczenie ma demokracja dla różnych sojuszników. Bez jednakowej dla wszystkich treści tych hasel, za których zrealizowanie tylu ludzi oddało życie, trudno mówić o współpracy i uzgodnieniu najważniejszych celów wojny. Niemcy przestali być groźbą dla świata, lecz równą groźbą jest pustka, jaka może zjawić się na miejsce solidarności stwarzanej przez walkę ze wspólnym wrogiem.

Jeżeli nie może być trwałego pokoju europejskiego bez współdziału Rosji, tym większe zaniepokojenie musi budzić fakt, iż właśnie to państwo, które tak poważny wkład wniosło do wojny, ma tak bardzo odmienny stosunek do jej założeń ideologicznych. Głosowanie w sprawie argentyńskiej w San Francisco, gdzie światowisko Rosji podzielił tylko jej satelici, jest świadectwem tych rozbieżności. Jeszcze poważniej ujawnia ją sprawa polska.

Nad polityką angielską góruje od r. 1941 przekonanie, że współdział Rosji konieczny jest dla pokonania Niemiec i zabezpieczenia pokoju. Stąd też na kolejnych konferencjach, podczas których ustalano szczegóły nowych ofensyw, czyniono równocześnie ustępstwa na rzecz rosyjskiego punktu widzenia. W Teheranie zaaprobowano rosyjską sferę wpływów, rozciągając jej granice w Europie środkowej aż po tzw. linię Curzona, na Bałkanach zaś obejmując nią Rumunię i Bułgarię; Jugosławie i Polsce uznano za przedmiot wspólnego zainteresowania wszystkich trzech stron. Praktyka poteherańska pokazała, że Rosja popiera marszałka Tito kosztem Grecji i Włoch, nie tai sympatii dla stosunków w Grecji północnej, a w Polsce udziela zbrojnego poparcia rządowi marionetkowemu komitetu lubelskiego.

Wobec tych zmian Anglia nie mogła być obojętna. Praktyka obydwo wojen światowych aż nadto dobitnie dowiodła, że Imperium Brytyjskie jest bardziej narażone na ciosy wojenne od mocarstw kontynentalnych, siły zaś i zasoby dominialne nie potrafią udzielić szybkiej pomocy swej metropolii. Toteż bezpieczeństwo wysp brytyjskich istnieje tylko w oparciu o dwa sojusze: sojusz amerykański i sojusz europejski.

Sojusz ze Stanami Zjednoczonymi, choć nie jest ujęty w żadnych postanowieniach traktatowych, stanowi integralną część polityki obu państw. W warunkach wojny współczesnej Anglia nie jest w stanie obronić swych dalekich komunikacji morskich bez współdziału Ameryki, z drugiej zaś strony wszelka inwazja Wielkiej Brytanii oznacza niebezpieczeństwo dla Ameryki.

Sojusz europejski dostarczał Anglii bezpośredniej osłony, przenosząc jej granicę strategiczną nad Ren. Tradycyjna polityka angielska szuka kompromisu z najsilniejszym państwem europejskim, obok tego zaś dąży do stworzenia systemów sojuszy przygotowanych na wypadek wojny z tym samym potencjalnym przeciwnikiem. Od stuleci przeciw Anglii zwraca się atak każdego nowego imperializmu, ponieważ żadne państwo europejskie nie może sięgnąć po władzę na morzach i bogactwa kolonialne, bez uprzedniego pokonania wysp brytyjskich. Polityka równowagi, długo stosowana przez Anglię jako skuteczny hamulec przeciw próbom hegemonii w Europie, staje się dziś pobożnym życzeniem wobec zmiennej proporcji sił, wzrostu znaczenia Rosji, osłabienia średnich państw europejskich.

Jedyną więc istotną zabezpieczenie, jedyne oparcie na kontynencie, może dać Anglii zorganizowana pokojowo Europa, wyzbyta z agresywnych ambicji, podporządkowana systemowi prawa, którego straż obejmie Wielka Brytania i którego naruszenie będzie uważać za *casus belli*.

Po konferencji w Teheranie Rosja stworzyła szereg faktów dokonanych, rozszerzając sferę wpływów. Powrócono znowu do myśli wspólnie organizowanego i wspólnie gwarantowanego systemu europejskiego.

Uгода jałtańska, nie przyjęta przez rząd polski, uchodziła jednak w Anglii przynajmniej za szczęśliwe ocalenie pozorów. Polska, pozbawiona terytoriów wschodnich, dostawała się pod władzę samozwańczego Lublina, którego przebudowa i rozszerzenie miały osłonić wstydlivą rzeczywistość. Moskwa jednak i Lublin interpretowały Jaltę w duchu dowolnej kooptacji kilku Polaków, niezaangażowanych po stronie sowieckiej. Obrady Komisji Trzech nie dawały rezultatu, gdyż przedstawiciele Anglii i Ameryki oczekiwali akceptacji przez Sowietów polityk polskich z Londynu i z ruchu podziemnego. Bezpośrednio przed San Francisco strona sowiecka zaczęła szukać kontaktu z przywódcami krajowymi. Uzyskano z amb. angielskiej zakonspirowane dotąd adresy. Przedstawiciele rządu polskiego w Kraju otrzymali przyrzeczenie swobodnego przejazdu do Londynu oraz zapewnienie nietykalności podczas rozmów z władzami sowieckimi i Komisją Trzech. Od tej pory delegacja polska zniknęła. Mimo uporczywych zapytań instancji tak wysokich, jak prezydent Truman, nie można było uzyskać wiadomości o losach szesnastu polskich polityków. Wreszcie na posiedzeniu przeniesionej do Waszyngtonu Komisji Trzech, Molotow oświadczył, że delegacja została aresztowana, dalsze zaś szczegóły ujawnia się podczas procesu. Jak informują amerykańskie agencje prasowe, aresztowanie nastąpiło wówczas, gdy Polacy odmówili rozmów wyłącznie z Rosjanami i zażądali skomunikowania ich z ambasadorem Anglii i ambasadorem Stanów Zjednoczonych.

I oto w dzień zwycięstwa nie widzimy żadnego planu przyszłości europejskiej, nie widzimy podstaw współpracy między Zachodem a Wschodem. Opinia całego świata demokratycznego żąda uwolnienia aresztowanych. Są między nimi ludzie, którzy mają swój udział w nieśmiertelnej chwale powstania warszawskiego. Jak wiadomo, komitet lubelski uważa bohaterów powstania za zdrajców i kapitulantów i nieraz już obiecywał publiczną egzekucję „katom Warszawy”. W ostatnim okresie wojny żołnierz polski złożył nową ofiarę krwi i uzyskał nowe zwycięstwo, zdobywając Bolonię, kluczową pozycję oporu niemieckiego w północnych Włoszech. Jest nie do pomyślenia, ażeby krew żołnierza, walczącego w obronie wolności ludów europejskich, mogła się zmieszać z krwią rozstrzelanych przywódców polskich. Te bolesne słowa są aż nadto usprawiedliwione dotychczasową praktyką sądów komunistycznych. Mamy nadzieję, że świat stanie w obronie porwanych.

13. V. 1945.

zb.

Nakładem Wydawnictwa „W Drodze”
ukazał się tom wierszy

Kazimierza Wierzyńskiego
RÓŻA WIATRÓW

Wydanie drugie
Cena 200 miliosów

Wydawca: Ignacy Pokrywa
Adres Redakcji: Polish Information Centre
Jerusalem, Bezalel Street, House Valero
Redaktor: St. A. Balicki
Drukarnia: The Jerusalem Press Ltd.

Z PRASY OBCEJ

Kilka prawd o Polsce

W jednym z ostatnich zeszytów czasopisma *The American Mercury* ukazał się pod powyższym tytułem dłuższy artykuł W. H. Chamberlina. Autor nie zamyka oczu na pewne zle strony wewnętrznej polityki przedwojennej Polski, wykazuje jednak na każdym kroku wielki obiektywizm i podkreśla słusność sprawy Polski w międzynarodowym węzle zagadnień wojennych, jakie się dziś zarysowują. Zwraca uwagę na prawo Narodu Polskiego do wolnego życia, które okupił bohaterką walką i niesłychanymi cierpieniami.

Chamberlin krytykuje metody przedwojennych rządów polskich, ale tłumaczy je faktem, że w latach 1933-39 znalazła się Polska między dwoma potężnymi mocarstwami totalitarnymi.

Gdy fizyczny opór Polski został złamany przez armię niemiecką i niespodziany atak sowiecki z tyłu, Polska walczyła nadal zarówno w kraju, jak i zagranicą.

„Ale to nie wszystko — stwierdza autor. — Rosja zaciągnęła wobec Polski dług wdzięczności za jej stałe odrzucanie hitlerowskich pokus. Zgodnie z dokumentami, zawartymi w francuskiej „Złotej Księdze” Hitler trzykrotnie ponawiał pod adresem rządu polskiego swą ofertę wspólnej akcji przeciw Rosji w latach 1938 i 1939. Podstawę ofert stanowił zwrot przez Polskę Niemcom terytoriów zagarniętych niegdyś przez Niemcy, w zamian za co Polska otrzymalaby „kompensaty” na wschodzie kosztem Rosji. Propozycja wybitnie podobna do stalinowskiej, tylko odwrócona.”

Polska odrzuciła te oferty. Jakże inaczej byłaby się potoczyła historia, gdyby Polska była weszła w orbitę niemiecką, jak to uczyniły Węgry, Rumunia i Bułgaria i gdyby była wzięła udział w ataku niemieckim na Związek Sowiecki! W tym wypadku Wielka Brytania i Francja nigdy nie zostałyby wpłatanie w wojnę i Rosja byłaby zmuszona wytrzymać sama jedną cały ciężar wojny przeciw Niemcom o dwa lata wcześniej. Rosja bez wątpienia ma powody być wdzięczną Polsce za odrzucenie niemieckich koncepcji w swej polityce zagranicznej.”

Polityka sowiecka

W dalszym ciągu Chamberlin stwierdza, że po ataku niemieckim na Rosję Polacy nie szukali odwetu za dokonane okrucieństwa, lecz uznali się za sojusznika Rosji. W interesie Zjednoczonych Narodów zastosowali politykę „przebaczenia i zapomnienia”. Przypominając szczegóły układu polsko-sowieckiego z 30 lipca 1941 r., anulującego zmiany terytorialne w Polsce, dokonane na zasadzie układu niemiecko-sowieckiego, autor przypomina oświadczenie rządu brytyjskiego w sprawie nieuznawania zmian terytorialnych w Polsce, stwierdzając jednocześnie, że Stany Zjednoczone nigdy nie uznały legalności aneksji przez Niemcy i Związek Sowiecki ziem polskich.

Autor przypomina wysiłek wojenny Polski, stwierdza prawowitość i konstytucyjność Rządu R.P. w Londynie z jego ekspozyturą w Polsce i przeciwstawia temu wysiłki komunistów podważające jego powagę. Ostatnią zmianę rządu i objęcie premierostwa przez Tomasza Arciszewskiego przedstawia autor jako zmianę taktyki, a nie podstawowych zasad polityki polskiej. Zmiana powstała zresztą na tle tragicznego dylematu stojącego przez rządem polskim na skutek brytyjskiego i amerykańskiego nacisku, żądającego pogodzenia się ze Stalinem za wszelką cenę. Byli premier Mikołajczyk zgadzał się na kompromis w sprawie granic dla ratowania narodu polskiego przed szkodliwymi rządami marionetkowego lubelskiego komitetu. Arciszewski natomiast wychodził z założenia, że jeśli Polska ma być okrojona, to niechaj odpowiedzialność za to okrojenie spada na krajaczy, rząd polski zaś musi stać na gruncie moralnych zasad Karty Atlantycznej.

„W przeciwnieństwie do emigracyjnego Rządu Polskiego Komitet Wyzwolenia Narodowego jest rządem marionetkowym, stworzonym przez Moskwę. Nie słyszało się o nim nic, dopóki wojska sowieckie nie weszły na terytorium, które Sowieci uznawali za polskie. Zorganizowany 23 lipca 1943, już 25 lipca uznany został za tymczasowy zarząd Polski przez Sowieci, tylko przez Sowieci. Ta szybkość jest zaskakująca nawet jeśli idzie o zarząd powołany przez same Sowieci.”

Podawszy sylwetki „ministrów” lubelskich i podkreśliwszy ich groteskowość, a nawet dotknąwszy przykrej przeszłości „naczelnego wodza” Roli-Zymierskiego, Chamberlin zaznacza, że rząd

ten otrzymuje rozkazy z Moskwy. Nic przeto dziwnego, że posłusznie zgodził się na ustąpienie Rosji 40% terytorium Polski.

„Polityka sowiecka, oparta na poszanowaniu niepodległości i terytorialnej integralności Polski — pisze Chamberlin — zapewniłaby Sowiecom lojalnego i wdzięcznego sojusznika w razie ponownego ataku niemieckiego. Niestety, obecna polityka sowiecka jest wręcz przeciwna.

Już na długo przed zerwaniem stosunków Rosja stwarzała trudności ambasadzie Polskiej, przeszkadzając w dziele pomocy dla mas polskich zesłańców w Rosji. Tysiące Polaków uznanych zostało za obywateli sowieckich wbrew ich woli. Organizacja i wyposażenie Armii Polskiej w Rosji natrafiała na takie przeszkody, że musiała ona być wywakuowana na tereny brytyjskie.”

Armia Krajowa

„Jednym z najbardziej ponurych rozdziałów w kłopotliwej historii stosunków sowiecko-polskich, rozdziałów okrytych zresztą tajemnicą, było stanowisko Sowieców w stosunku do polskiej Armii Krajowej. Rosja używała bojowników A.K., gdzie ich potrzebowała, lecz rozwiązywała organizację A.K., aresztując bezceremonialnie jej przywódców. Mocarstwa zachodnie, szczególnie W. Brytania, nie mogły się uchylić od moralnej odpowiedzialności za tę tragedię.”

„Gdy w lecie 1944 r. siły rosyjskie weszły na szeroki front w Polsce, Anglia nastawała uparcie na konieczność współpracy A.K. z armią sowiecką, podkreślając potrzebę wyjawienia ilości i rozlokowania oddziałów, kryjówek w bagnach i lasach itd. Polacy usłuchali lojalnie tej rady. Współpraca Armii Krajowej przyczyniła się skutecznie do szybkich postępów sił sowieckich we wschodniej Polsce w lipcu (1944). „Gdy sprawa ta zostanie odsłonięta w całej swej prawdzie, wywoła wstrząs w sumieniach Zjednoczonych Narodów.”

Autor cytuje w tym miejscu kilka najbardziej typowych wypadków, według raportów przesłanych przez polski ruch podziemny. Daje to całą litanię aresztowań, zesłań, rozstrzeliwań, rabunków mienia żołnierzy A.K., osadzenia w oślawionym obozie śmierci w Majdanku itd.

„Ta różnorodność raportów na przestrzeni dłuższego czasu — dodaje Chamberlin — wskazuje na ustaloną politykę, a nie na indywidualne nieporozumienia.”

Posel Izby Gmin McGovern z Niezależnej Partii Pracy nie otrzymał zadowalającej odpowiedzi na interpelację z 27. IX. Wynika z tego, że represje mogą być dokonywane przez jakiegoś rząd bez wywołania międzynarodowego skandalu, jeśli potrafi otoczyć nieprzeniknioną zasłoną okupowane terytorium.”

Nic dziwnego, jeśli nie dopuszcza się na takie terytorium przedstawicieli wolnej prasy, ani dyplomatów, ani obserwatorów wojskowych.

Powstanie w Warszawie

Chamberlin stwierdza, że tragedia narodowa Polski osiągnęła swój szczytowy punkt w wystarczająco dramatycznych okolicznościach, by zwrócić na siebie uwagę całego świata, podczas powstania Warszawy.

Autor podkreśla, że przez długi okres czasu Związek Patriotów Polskich w Rosji rzucał gromy na „nacionalistów” polskich za niewywołanie powstania i podrywał zaufanie do tych, którzy czekają na beczynności”. Apele takie stawały się coraz bardziej uprzejme w miarę zbliżania się armii czerwonej do granic Polski. Oczywiście nie mogło się to dziać bez wiedzy i bez zezwolenia władz sowieckich. Autor przytacza rzecz znaną nam wszystkim, ale nie całemu światu, że przez radio moskiewskie nadano w dniach 29 i 30 lipca wezwanie do powstania i zaatakowania Niemców. Było to w momencie, gdy armia czerwona doszła po raz pierwszy do Wisły i zajęła Pragę. Wezwaniu towarzyszyło zapewnienie szybkiej pomocy powstańcom. W kilka dni później toż samo radio zaczęło ciskać gromy na gen. Bora-Komorowskiego za przedwczesne wywołanie powstania.

W końcowym ustępie swego artykułu Chamberlin powołuje się na stwierdzenia publicysty angielskiego F. A. Voighta, że w tej chwili nie chodzi o to, czy inne granice Polski, lecz o samo istnienie Polski i o istnienie Europy, tej Europy, która jest redutą dziedzictwa greckiego, rzymskiego i chrześcijańskiego.

W lutowym numerze czasopisma londyńskiego „The Nineteenth Century And After” ukazał się poważny, źródłowy artykuł znanego publicysty angielskiego F. A. Voighta pt. „Grecja, Jugosławia, Polska”. Podajemy poniżej wyjątki z trzeciej części artykułu, odnoszące się do Polski.

Na wstępie Voigt powtarza znaną tezę, że sytuacja Polski była przez wielki funkcją rosyjskiej polityki w stosunku do Niemiec, względnie niemieckiej w stosunku do Rosji, lub obydwóch tych państw jednocześnie. Jeśli nie padała ofiarą ich przyjaźni, padała ofiarą ich wrogiego wzajemnego stosunku. W jednym jednak oba państwa były zgodne bez względu na to, czy żyły w pokoju, czy wojnie z sobą: że niepodległa Polska nie może istnieć. Wojna między obu tymi państwami zawsze niosła z sobą groźbę zamienienia Polski na pole bitwy i zajęcia jej terytorium przez zwycięzcę. Pokój między dwoma rywalami groził Polsce rozbiorem.

„Czwarty rozbiór Polski, którym podzielona została we wrześniu 1939 r. niemal równo między Niemcy i Rosję, został anulowany układem między Polską, Rosją i Anglią w lipcu 1941 r. Ale w grudniu tegoż roku, stawiając skuteczny opór na jeźdźcy, Rosja podniosła swe żądania wobec terytoriów, które anektowała na mocy układu z Niemcami z 1939 r. Na konferencji w Teheranie w listopadzie 1943 r. Rosja zapewniła sobie poparcie W. Brytanii dla tej polityki w stosunku do Polski, przy czym zmiana polegała na tym, że linię Ribbentrop-Mołotow zastąpiono przedłużoną linią Curzona. Układ ten, zawarty między Rosją, W. Brytanią i Stanami Zjednoczonymi, stanowił o piątym rozbiórze Polski.”

„Nowy rozbiór tym różni się od poprzednich, że o ile zostałyby przeprowadzone, odrzuciłyby Polskę na zachód, daleko ku Niemcom, a jej terytorium zostałoby podzielone nie między dwa czy trzy obce państwa, lecz między cztery federacyjne kraje jednego suwerennego mocarstwa: między Ukrainą, Białoruską, Litewską i Polską republiką radziecką Związku Sowieckiego.”

Autor stwierdza, że Rosja zaczęła przeprowadzać swój plan piątego rozbioru Polski w grudniu 1941 r., gdy wojna zaczęła przybierać pomyślny dla Rosji przebieg. Churchill i Eden prawdopodobnie nie zdawali sobie sprawy z konsekwencji tego popierania polityki sowieckiej w stosunku do Polski. Prem. Churchill oświadczył w Izbie Gmin 22 lutego 1943, iż z przyjemnością stwierdza, że Stalin pragnie stworzenia i utrzymania silnej, integralnej i niepodległej Polski, jako jednego z kierowniczych mocarstw Europy. Voigt podkreśla z naciskiem, że takie wyrażenie oznacza co innego w ustach Stalina i wszystkich Rosjan, a co wręcz przeciwnie w ustach Churchilla, Edena i wszystkich Europejczyków, łącznie z Polakami. „Nie chodzi o szczerłość lub nieszczerłość, o prawdę lub fałsz, lecz o dwa odrębne światy: Rosję i Europę. Istnieje konflikt tych dwóch światów w sprawie Polski, w którym góruje Rosja. Churchill i Eden zdają się nie rozumieć, co ma na myśli Stalin, lecz Stalin rozumie, o czym oni myślą. Polaków, którzy na skutek swych tragicznych doświadczeń znają oba światy i rozumieją oba języki, nikt nie pytał o zdanie.”

„Churchill musiał wierzyć, że poświęcając prawie pół Polski, uratował drugie pół. Pomylił się. Wschodnia Polska posiada niewielkie znaczenie dla Rosji. Stanowi tylko środek, prowadzący do celu. Zapewniając sobie poparcie ze strony Wielkiej Brytanii — bez sprzeciwu Stanów Zjednoczonych — w swej polityce aneksji wschodniej Polski i dla zasady kompensacji, Stalin wciągnął W. Brytanię i Amerykę w politykę, która uniemożliwiała im prawie przeszkodzenie w aneksji Polski, okrojonej na wschodzie i rozszerzonej na zachodzie, Polski podzielonej po raz piąty.”

„Prawda, Polska ma otrzymać kompensację kosztem Niemiec. Ale terytoria, które ma uzyskać — terytoria większe, aniżeli pragnie — pozostać będą tylko nominalnie pod suwerenną władzą Polski. W rzeczywistości mają one być włączone, jako część nowej Polski, do Związku Sowieckiego.”

Voigt przypomina, że każdy zamach na niepodległość Polski przedstawiany był mocarstwom zachodnim jako przedsięwzięcie, podjęte dla dobra Narodu Polskiego oraz dla zachowania pokoju i bezpieczeństwa. Tu Voigt przytacza oświadczenia rządu pruskiego i słowa Katarzyny II, która przystępowała do rozbioru Polski „celem uchronienia jej od rozłamu wewnętrznego i podniesienia jej z ruin.” Podobnie i w układzie niemiecko-sowieckim z 20 września 1939 powiedziane jest, że Niemcy i Rosja „uważają za swoje wyłączne zadanie przywrócić pokój i ład na tych terytoriach i zapewnić zamieszkujejącej je ludności pokojową egzystencję.”

Historycy niemieccy stale podkreślają, że u podstaw rozbiorów Polski leżały zawsze cele wyłącznie humanitarne. Po uchwaleniu Konstytucji 3 Maja Katarzyna II oświadczyła, że jej zamiarem jest ratowanie Polaków „od okropności zgubnej doktryny, którą skłonni byłiby chętnie przyjąć.” „Dziś ratuje się Polaków od okropności doktryny faszystowskiej, której Polacy bynajmniej wcale nie wyznają” — stwierdza Voigt.

W dalszym ciągu autor podkreśla różne sprzeczności polityki sowieckiej. W r. 1939 Sowieci zajęli wschodnią Polskę celem „roztoczenia opieki” nad Ukraińcami, którzy o opiekę nie prosili, a zajmując te terytoria, rozpoczęli deportowanie nacjonalistów ukraińskich na Sybir. (Lenin potępił wielokrotnie roszczenia rosyjskie do wschodniej Małopolski).

Niemcy odkryli, że zachodnie granice Polski były wysunięte zbyt daleko na zachód, a Związek Sowiecki, że wschodnie granice Polski były wysunięte zbyt daleko na wschód. Ale już Katarzyna II oświadczyła, że „bezpieczeństwo naszych państw (tzn. Rosji i Austrii) wymaga ustalenia Rzeczypospolitej Polskiej granic, odpowiednich do jej obecnej siły i sytuacji.”

„Każdy kompromis w sprawie polskiej — z wyjątkiem Traktatu Ryskiego — był kompromisem na niekorzyść Polski. Obecnie po raz trzeci w swej historii Polska traci swą niepodległość na skutek kompromisu.”

„Dlatego dziś Polacy tak są przeciwni kompromisowi. Koncesje, których od nich zażądano i jakich się jeszcze żądają, nie stanowią, jak to się ogólnie sądzi, ofiary z części, by ratować drugą część, lecz ofiarę, która prowadzi tylko do szybszej, pewniejszej i niepowetowanej utraty reszty.”

„Mowa p. Churchilla w Izbie Gmin 15 grudnia (1944 r. — przyp. Red.) stanowiła najbardziej

autorytatywne określenie polityki brytyjskiej wobec Polski, jakie dotychczas zostało złożone — stwierdza Voigt. — Zaliczone ono zostanie do tragicznych dokumentów dziejów nie tylko Polski lecz Europy, albowiem „sprawa polska” nie istnieje i nigdy nie będzie istnieć *in vacuo*, ale stanowi organiczną część całości zagadnienia Europy, jak to przyznali Burke, Pitt, Castlereagh i inni.”

„Jest w tej mowie coś z osobistej tragedii, lub bodaj melancholii, ponieważ p. Churchill ma wiele ciepłego, impulsywnego uczucia dla Polaków.”

A dalej: „nie ulega najmniejszej wątpliwości, że gotów jest uczynić wszystko dla osiągnięcia odbudowy niepodległości Polski — w rozumieniu zachodnio-europejskim. Sprawa polska leży mu szczerze na sercu.”

Autor zaznacza dalej, że „sprawa polska” nie raz już zajmowała i zajmuje obecnie meźów stanu. Mimo całej koncepcji Nowego Porządku rosyjskiego, jaką posiada Stalin (a nową Polskę wyznaczono udział w tym porządku), koncepcja ta jest niebezpieczna. Stalin jest wielkim realistą, ale konsekwencje realistycznej polityki bywały czasem katastrofalne w większym stopniu, aniżeli konsekwencje polityki idealistycznej, choć objawiają się może wolniej. Nieliczenie się z wielką siłą moralną, która tworzyła Europę, może się okazać w końcu fatalne, jak na to wskazuje przykład Niemiec. Może się wydawać, że rosyjskie rozwiązanie sprawy polskiej jest rozwiązaniem, nie we wszystkich odpowiadającym interesom i dążeniom Polski, ale rozwiązaniem. W naszej opinii jednak — stwierdza autor — jest ono błędne i nie zostanie nigdy przyjęte ani przez Polskę, ani przez Europę. „Churchill — pisze Voigt — musiał się już przekonać, że słowa Stalina nie oznaczają tego, co wydawały się oznaczać. Owa silna, integralna i niepodległa Polska w słowach Stalina oznacza taką właśnie Polskę, lecz jako jedną ze związkowych republik Związku Sowieckiego, cieszącą się pewną autonomią. Polska, jedno z kierujących mocarstw Europy, oznacza w ustach Stalina Polskę wziętą głęboko w Niemcy, która będzie miała wielką rolę do spełnienia, ale tylko jako funkcja rosyjskiej polityki w stosunku do Niemiec, albo nawet w stosunku do Europy.”

W dalszym ciągu autor rozprawia się z oświadczeniem Churchilla z 22 lutego 1944, powtórzonym 15 grudnia, jakoby rząd brytyjski nie gwarantował jakiegś ściśle określonej granicy Polski. Takie twierdzenie jest sprzeczne z duchem polsko-angielskiego traktatu z 25 sierpnia 1939. Przecież traktat polsko-angielski wyraźnie mówi, że układ jednej ze stron ze stroną trzecią nie może naruszać integralności terytorialnej Polski, wzgl. Anglii. Gdyby nawet przeto W. Brytania chciała uznać suwerenne prawa Rosji nad wschodnią Polską, uznanie takie byłoby nielegalne bez względu na argumenty polityczne. Ale te roszczenia Rosji, wynikające z układu Ribbentrop-Mołotow, zostały przekreślone rosyjską deklaracją, zawartą w artykule 5 angielsko-rosyjskiego sojuszu z 26 marca 1942, moralnie zaś sprzeczne są z punktami 2 i 3 Karty Atlantycznej, która nie jest wprawdzie wyrazicielem prawa międzynarodowego, ale międzynarodowej i narodowej etyki. Wynika stąd, że polityka W. Brytanii w sprawach polskich musi szukać współpracy legalnego Rządu Polskiego. To jest przyczyna nacisku, wywieranego na Rząd Polski, i to jest przyczyna oporu ze strony tegoż Rządu.

Z kolei Voigt rozprawia się z linią Curzona, która — jego zdaniem — nie jest niczym innym jak podstawioną nazwą linii Ribbentrop-Mołotow. Linia, nosząca miano angielskiego meża stanu, będzie łatwiejsza — zdaniem Kremla — do przyjęcia dla opinii brytyjskiej, aniżeli pierwotna nazwa linii, przypominająca okoliczności, w jakich została wyznaczona. Autor przypomina, że linia Curzona nie oznaczała granicy, lecz tylko linię demarkacyjną, odrzuconą nie tylko przez Polskę, ale i przez Rosję, jako niesłuszną dla Polski. Traktat Ryski, który zakończył wojnę polsko-sowiecką, stanowił jeden z rzadkich przykładów w historii, gdyż zadowalał obie strony.

Po 20-stu latach niepodległości, naród, który zaczął się dźwigać politycznie i gospodarczo po długiej niewoli, wydany jest w tej chwili na utratę niepodległości, co przebiega z oświadczeń Komitetu Lubelskiego.

„P. Churchill posiada zbyt wiele poczucia ludzkości, aby mógł dobrze bronić złej sprawy. Dlatego okazał się wyższym ponad swych krytyków w dwukrotnej debacie nad sprawą Grecji i dlatego krytycy górowali nad nim w debacie nad sprawą Polski.”

„Zadaniem Komitetu Lubelskiego jest wykonywanie praw suwerennych rzekomo w imieniu Narodu Polskiego, a w rzeczywistości w imieniu Rosji — na terytoriach na zachód od linii Curzona. Churchill musiał przyznać, że Komitet nie jest wyrazicielem niezależnej woli Narodu Polskiego. „Władza Komitetu Lubelskiego opiera się na sile. Rządzi on terrorem, niszczy Polską Armię Krajową, zarówno fizycznie, jak i przez oszczerstwa. W podobny sposób niszczy władzę prawowitego Rządu Polskiego przez aresztowania i zysk jego zwolenników i przez oszczerstwa rzucane na jego członków i zwolenników w Londynie.”

„Polska Lublina — stwierdza dalej autor — posiada wszystko: rząd i władzę wykonawczą, administrację, policję, armię i korpus dyplomatyczny. Brak jej tylko narodu”. Po czym przytacza Voigt oszczerstwa Osóbki-Morawskiego o związkach Rządu Polskiego w Londynie i Polskiej Armii Krajowej z Niemcami, za co oczywiście — jak mówił Morawski — muszą być przygotowani na poniesienie surowej kary.

Voigt prostuje również kłamstwa Komitetu Lubelskiego o powstaniu w Warszawie i przedstawia dwuznaczne stanowisko Rosji. Obok tego cytuje, że

„gen. Rola-Zymierski złożył pod adresem Rosji podziękowanie za przydzielenie do „odrodzonej armii polskiej” — tj. sił zbrojnych Komitetu Lubelskiego — licznych oficerów narodowości polskiej i narodowości rosyjskiej. W końcu autor podkreśla zadanie i rolę polityków w armii Komitetu Lubelskiego.

Komitet Lubelski i rządy sowieckie w Polsce — to — zdaniem autora — prototyp polityki sowieckiej w całej wschodniej i południowo-wschodniej Europie. „W każdym razie w naszych oczach wyłania się we wschodniej Europie nowy porządek, który nie ma precedensu w historii świata. Zachodzi pytanie, jak daleko na zachód rozciągnie się ten porządek. Aż po Łabę, czy aż po Ren?”

Książki przedwyborcze

Why not trust the Tories by Celticus (Aneurin Bevan M. P.), Gollancz Ltd. 1944. Str. 89.

Politics made plain. What the Next General Election will really be about. By T. L. Horabin. M. P., Penguin Books, 1944. Str. 128.

Aneurin Bevan, poseł Labour Party z walijskiego okręgu Ebbw Vale, jest także redaktorem socjalistycznego tygodnika *Tribune*. Jest młody i pełen temperamentu. Jeśli dodamy, że jest wrogiem nr. 1 Churchilla, to nagromadzenie tych wszystkich cech chyba go dostatecznie charakteryzuje.

Wierzy w socjalizm, rzecz podobno dość rzadką u socjalistów (nie tylko polskich) i natarczywie domaga się socjalizmu od Labour Party. Niektórzy twierdzą nawet, że jego natarczywość nie wychodzi na zdrowie jego karierze. Angliści nie lubią gwałtowności, a Bevan na ogół bardzo gwałtownie wyraża swoje zapatrywania. Ta gwałtowność sprawia prawdopodobnie, że *Tribune* jest raczej chłodno przyjmowana przez przeciętnego angielskiego inteligenta, który woli bardziej napuszoną i bardziej uroczyłą (nazywają to *sophisticated*), w formie *New Statesman* and *Nation*.

Bevan wydał obecnie u Gollancza książkę pt. *Why not trust the Tories*. Jest to piąta z kolei książka z serii, którą nazwałbym „przedwyborczą”. Poprzednie książki tej serii (*Guilty Man*, *Trial of Mussolini*, *Your M. P.* i *Brendan and Beverley*) były już omawiane „W Drodze”. Książka Bevana nie wnosi niczego nowego do dyskusji. Stara litania torysowskich grzechów. Odnoszę wrażenie, że te książeczki Gollancza w złotej oprawie znużyły się już i opatrzyły. (Co nie dyskwalifikuje ich

treści, ale podaje w wątpliwość ich celowość). Największą zaletą książki Bevana jest, że owe znane i oklepane zarzuty udokumentował bardzo źródłowo historią złamanych zobowiązań i niewykonanych zamierzeń partii konserwatywnej.

Omawia sprawę górniczą, groźną balaczkę Anglii i źródło jej największych przedwojennych i wojennych kłopotów wewnętrznych; sprawę ubezpieczeń społecznych, fatamorganę, którą w obecnej wojnie pokazuje się masom tak jak w ubiegłej pokazywało się *Homes fit for heroes* i szereg innych spraw o bezpośredniej aktualności wewnętrzno-politycznej i dobrym *appeal* wyborczym. Największą wadą tej książki (dla cudzoziemca, który rzetelnie stara się o bezstronność) jest jej jednostronność. Wiemy, że torysi nabroili i nagrzęśli sporo, ale wiemy także, że i Labour Party nie była święta. Zarzykowałbym nawet twierdzenie, że dla lewicowców z kontynentu, grzechy Labour Party były — i są do dziś dnia — boleśniejsze. MacDonald, *peace ballot* i szereg innych „grzechów” przyczyniły się do obecnej wojny i do tragedii europejskiej w równej mierze co nieudolność czy zła wola torysów. Jednakże podczas obecnej wojny wydali torysi Churchilla, natomiast lewica angielska nie pokazała niczego poza dobrymi chęciami, a jak mówi przysłowie: „dobrymi chęciami wybrukowana droga do piekła.”

Obok powyższej książki Bevana należy wymienić T. L. Horabina *Politics made plain*. Horabin jest posłem liberalnym Izby Gmin, a o jego książce można by napisać kubek w kubek to samo co o książce Bevana. Jest to atak liberałów na międzywojenną politykę torysów. Moje zastrzeżenia odnoszą się także do tej książki